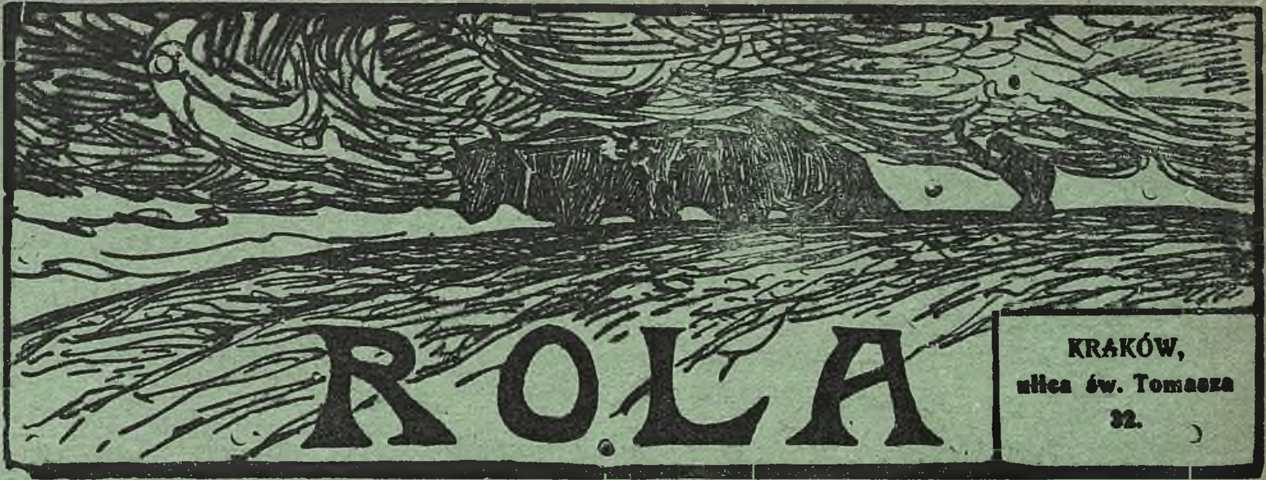
Numer 43 Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 23 Października 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Ach te dzieci!

— Proszę pana, pan naprożno czeka na mego tatusia, on nie wróci.

— A dlaczego nie wróci?

— Bo wcale nie wychodził.

Umie się przymówić.

Henryś: — Opowiedz mi powiastkę, ojczusiu.

Ojciec: — Chętnie, mój synku. A o czem ci mam opowiadać?

Henryś: — O chłopcu, któremu ojciec podarował złotego.

Niepocieszony.

— Panie Henryku. Nie mogę wyjść za pana, kocham innego. Zwracam panu pierścionek.

— Jestem niepocieszony. A czyż mogę wiedzieć, kto jest tym szczęśliwcem?

— Ach, czy pan chce się pojedynkować?

— Nie, zaproponuję mu tylko, żeby kupił odemnie pierścionek zaręczynowy po cenie kosztu.

Dowcipny.

Żarski spotyka swego przyjaciela i przybiega do niego mocno wzburzony:

„Mój przyjacielu, pożycz mi na 20 minut dziesięć złotych. Potrzeba mi ich na 20 minut tylko“.

Przyjaciel spogląda uważnie na Żarskiego i odpowiada:

„Jeśli ci tych pieniędzy potrzeba na 20 minut tylko, to przeczekaj owe 20 minut — to ci ich potem już nie potrzeba“.

Poprawił sobie dolę.

Litościwa pani (do żebraka): — Tu macie, człowieczku, 50 groszy. Przykro być kulawym to pewna, ale o ile gorzejby było, gdybyście byli niewidomi.

Żebrak: — Ma pani słuszność. Gdy byłem niewidomym zawsze dawano mi podrobione pieniądze.

I to pociecha!

Pewien chory, cierpiący na żołądek, żali się przed doktorem na brak apetytu. Lekarz mu na to odpowiada:

— Niech się pan pocieszy, wszak wszystko dziś takie jest drogie.

Numer 43. X. Rok Kraków, dnia 23 Października 1927

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł. półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Czem jest język ojczysty.

Ogólnie dziś panujący prąd czasu pcha i u nas ludzi do zdobywania sobie coraz wyższej oświaty. To też garną się do niej młodzi i starzy, zadając sobie nieraz wiele trudu, aby podnieść poziom swego wykształcenia. Nie zawsze jednak udaje im się ten cel osiągnąć. Różne bywają do tego powody, najczęściej jednak tkwi przyczyna w lekceważeniu fundamentu, na którym gmach oświaty w każdym ludzkim umyśle jedynie trwale oprzeć się może. Tym fundamentem to gruntowne poznanie i wszechstronne przyswojenie sobie mowy.

Darząc człowieka mową, udzielił mu Bóg iście królewskiego daru; mowa bowiem wynosi człowieka ponad cały świat zwierzęcy. Mowa jest wyrazem rozumnej myśli, zapomocą której człowiek panuje nad całem stworzeniem. Zapomocą mowy porozumiewa się człowiek z bliźnimi, łączy się z nimi do wspólnej pracy, wypowiada swoje radości i bóle, czerpie i rozdziela oświatę. Odejmijmy człowiekowi mowę, a uniemożliwimy wszelki postęp i kulturę na ziemi. Mowa ludzka więc to jeden z największych cudów stworzenia, ale niemniejszym jest cudem różnorodność ludzkich języków. I znać to jest wolą Stwórcy, aby człowiek przedewszystkiem kształcił i pielęgnował język swój macierzysty, gdyż z mową jego rodzinną jest u człowieka cała jego zdolność umysłowa jak najściślej związana.

Tylko na podstawie ojczystego języka i za jego pomocą może się umysł człowieka w całej pełni rozwinąć. Jeśli człowiek przedwcześnie, zanim się władze jego zupełnie rozwiną, obce sobie przyswaja języki, staje się niejako umysłowym kaleką, gdyż władze jego umysłowe marnieją, a w najlepszym razie nie osięgają stopnia tak wysokiego rozwoju, do jakiego dojść im było przeznaczone.

Dawno poznali uczeni to wielkie znaczenie mowy ojczystej dla umysłowego rozwoju człowieka, to też naczelnem żądaniem wszelkiego wychowania jest, aby dzieci rozwijano i kształcono w ich ojczystym języku. I tak się też dzieje. Ale to nie dość, gdyż oprócz nauki innych przedmiotów w ojczystym języku na sam ten język w szkołach przeznacza się najwięcej czasu. I niejeden się dziwi, dlaczego się to dzieje, twierdząc, że przecież każde dziecko język swój już z domu rodzicielskiego zna, a więc przeznaczanie nań tyle czasu w szkołach jest daremną stratą tegoż czasu.

Takby się zdawało, a przecież tak nie jest. Uderzmy się w piersi i przyznajmy, że my w większości wypadków języka naszego nie znamy. Ci, którzy czytają książki, czują to dobrze, jeżeli porównają mowę książkową z mową, jaką słyszą u swego otoczenia. Posłuchajmy tej mowy po naszych wsiach. Jakżeż ona brzmi niepowiązanie; brak w niej polotu, brak często form gramatycznych, brak najzwyklejszych a tak pięknych wyrażeń. Jest to po największej części gromada słów luźno obok siebie stojących. Jedynie ci ludzie, którzy dużo książek czytają, uszlachetniają tę mowę i czynią ją dopiero naprawdę ładną.

Przez tyle lat byliśmy w niewoli politycznej, a przez to samo byliśmy ciągle narażeni na wykoszlawienie naszego języka. Ileż to złego dla naszej mowy robiła służba wojskowa, czyto austrjacka, czy niemiecka, czy wreszcie rosyjska. Zapaskudziliśmy swój język ojczysty i lat wielu trzeba będzie, aby go z tych paskudztw oczyścić.

A rzemiosła nasze ileż one w sobie mieszczą dziwolągów językowych. Niemal każda nazwa jakiegoś narzędzia rzemieślniczego, to nazwa niemiecka lub z niemieckiej przekoszlawiona. Obowiązkiem naszym jest te naleciałości usuwać, a usuniemy je tylko przez czytanie książek dobrym językiem polskim napisanych. Czytajmy więc jak najwięcej i upiększajmy nasz język, który tak wysoko wśród języków świata stoi.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

III.

Wszystko więc jak najlepiej się ułożyło, z wyjątkiem tego, że Hiller nie na pałasze, jak przypuszczałem, ale chciał pojedynkować się na pistolety. Powziąłem też zaraz mocne postanowienie, jakiekolwiek warunki pojedynku ułożą nasi sekundanci, nie szczędzić życia tego zuchwalca i wpakować mu w łeb kulę, a potem zmykać do legjonów.

Ubrałem się też zaraz i pobiegłem do Tulińskiego i Dąbskiego, by ich poprosić na świadków czekającej mnie walki śmiertelnej. Zdziwili się wielce moją ranną wizytą, a Tuliński wołał:

— Do paralusza, Józiku (bo tak mi było na imię), co się stało, żeś już o godzinie dziewiątej na nogach?

— Mnie się widzi — dodał Dąbski, przeciągając się i ziewając straszliwie — że on wcale w nocy nie spał. Cóż, zgrałeś się i potrzebujesz zapewne pieniędzy? Toś źle, brachu, trafił, bo my oba z Frankiem ostatkami gonimy.

— Dziękuję wam — rzekłem — ale pieniędzy nie potrzebuję. Daleko ważniejsza sprawa sprowadza mię do was.

Stach Dąbski, usłyszawszy to, zerwał się, usiadł na łóżku i zawołał:

— O! do licha, cóż to takiego?

Opowiedziałem im tedy wszystko, co mi się tej nocy przytrafiło i jakie miałem zajście z rotmistrzem von Hillerem i prosiłem, by zaraz udali się do barona Teutelburga von Hildensheim, gdzie i pan hrabia von Lossowitz czeka, i umówili się o ostateczne warunki pojedynku.

Wysłuchali tej opowieści mojej z wielką uwagą, a gdym skończył, Tuliński wyskoczył z łóżka, jak oparzony, i zawołał:

— Do paralusza! A to pyszna gratka! Posiekasz Niemca na zrazy.

— Kiedy pojedynek ma być na pistolety — odrzekłem.

— Prawda! Hm... wiesz co, Józik, to głupia sprawa. A nuż on cię zastrzeli?

— Ha, to trudno... Ale może Bóg da, że ja go zastrzelę.

Dąbski, który dotąd leżał w łóżku i milczał, widocznie nad czemś głęboko rozmyślając, teraz odezwał się:

— Jeżeli go ty, Józik, zastrzelisz, to pójdziesz do Cuchthauzu i Niemcy w kajdany cię zakują. Niech djabli wezmą, piękna perspektywa!

— To też właśnie — rzekłem — chcę się z wami naradzić, co mam robić w razie, jeżeli Hillera zastrzelę, by uniknąć kary.

— Ba! — syknął Dąbski, leniwie podnosząc się z łóżka. Ja myślę, Józik, że jeżeli Niemca zastrzelisz, o co się modlić nie przestanę, to nic ci nie pozostaje, jak uciekać.

Wtedy powiedziałem im, że mam zamiar uciekać do legjonów i tam pod sztandarami polskimi szukać schronienia przed prawami i prześladowaniem pruskiem. Myśl ta obu nadzwyczajnie się podobała; Tuliński nawet oświadczył, że on to samo zrobi, tylko, że teraz nie ma pieniędzy, przyczem zapytał:

— A ty, Józik, masz-że talary? bo przecie bez grosza nie dostaniesz się do legjonów...

— Zdaje mi się, że będę miał. Posłałem już Grzesia do Rudnik po pieniądze.

Tu opowiedziałem im, jakie poczyniłem przygotowania, że ponieważ pojedynek ma się odbyć w sobotę, więc Grześ będzie miał czas dopaść do Rudnik, zebrać co się da grosza i wrócić przed terminem walki, tak, że ja stanę do niej przygotowany na wszelkie wypadki.

Dąbski ubierał się i słuchał tego sprawozdania mojego, wreszcie rzekł:

— Wszystko to dobrze, ale należy teraz obmyślić samą ucieczkę, mam bowiem nadzieję, że Hillera, którego serdecznie nienawidzę, poczęstujesz kulką.

— To się wie! — zawołał Tuliński. — Jużby chyba sprawiedliwości nie było na ziemi, gdyby Józik miał zginąć z ręki szwabskiej.

— A gdzie ma się odbyć pojedynek?

— Nie wiem — odrzekłem — to wasza i sekundantów rzecz. Sądzę, że najlepiej będzie na Bielanach.

Dąbski zrazu nic nie odrzekł, potem nagle uderzył się w czoło i zawołał:

— Do licha!... no!... żeby też o tem zapomnieć.

— Co takiego?

— A wszak za Pragą zaraz zaczyna się granica austrjacka. Poco rozstawne konie, poco niebezpieczna ucieczka ku Pilicy, kiedy w pół godziny za Pragą można być już w Galicji. Otóż, braciszku, pojedynek musi się odbyć za Pragą, w lasku koło Saskiej Kępy; to będzie najlepiej, bo stamtąd w kwadrans już będziesz za granicą. Wprawdzie straże tam są baczniejsze, ale powiesz, że jedziesz do Miłosny, lub gdzie tam do krewnych.

— A jak się sekundanci Hillera nie zgodzą na Pragę?

— Dlaczego się nie mają zgodzić? Nie widzę zresztą żadnego powodu ukrywania przyczyn, które nam każą wybierać lasek za Pragą na miejsce spotkania. Chociaż to Prusaki, ale bądź co bądź ludzie honoru. Z pewnością się zgodzą.

— Niechnoby się nie zgodzili! — zawołał Tuliński — ze mną-by mieli do czynienia. I bądź, Józik, pewny, że jeżeli cię ten Hiller zabije, to ja go wyzwę na rękę i posiekam na zrazy. No! już ja go urządzę!

— Nie wielka to dla mnie będzie pociecha! — zaśmiałem się i przyznałem, że Dąbski ma zupełną rację, żądając, by pojedynek odbył się w lasku za Pragą.

Potem mówiliśmy już o samych warunkach pojedynku. Uwiadomiłem moich sekundantów, że strona przeciwna zażądała, ażeby walka była śmiertelną, żebyśmy z Hillerem dopóty do siebie strzelali, dopóki jeden z nas nie padnie, i że ja na ten ostry warunek się zgodziłem.

— Nie mogłem inaczej postąpić, skoro oni tego żądali, bo gdybym się nie zgodził, gadaliby Szwaby, że się ich boję.

— Tak... oczywiście — mruknął Dąbski — nie mogłeś inaczej postąpić, ale warunki są ciężkie. Ha! obaczymy. Siedź-że tutaj i czekaj na nas. My pojedziemy do tego pana barona Teufelburga czy Teuburga i ostatecznie ułożymy warunki spotkania.

— Tylko, proszę was, trzymajcie się ostro, żeby nie wyglądało, iż tchórzymy.

— Bądź spokojny — odrzekł chłodno Dąbski — damy się Niemcom we znaki.

— Zjedzą kopę djabłów wprzódy, niż powiedzą, iż Franek Tuliński ich się boi. Jak mi się zresztą spodoba, to obu tych sekundantów wyzwę i uszy im obetnę.

— Ani mi się waż tego robić! — zawołał surowo Dąbski — żadnych awantur, przynajmniej w tej chwili, bo tu idzie o Józika.

Tuliński mruknął coś niechętnie, zarzucił płaszcz na plecy i wyszli. Z sypialni mych sekundantów przeniosłem się do ich gościnnego pokoju, który wychodził na ulicę, by nudny czas oczekiwania skrócić sobie przypatrywaniem się ruchowi miejskiemu. Byłem dość smutny, ale zrezygnowany. Nie pragnąłem wcale śmierci Hillera, ale chciałem sam żyć, by pójść do legjonów i zarabiać sobie na sławę pod największym wodzem świata.

Czekałem dobre dwie godziny, aż zjawili się moi sekundanci. Byli obaj w bardzo kwaśnem usposobieniu. Tuliński klął i odgrażał się na Niemców, a Dąbski uwiadomił mię, że pojedynek ma być śmiertelny, że strzelać będziemy idąc do barjery na piętnaście kroków, i że strona przeciwna zgodziła się na to, by walka odbywała się w lasku pod Grochowem, że czas pojedynku godzina szósta rano w sobotę.

IV.

Późno w nocy z czwartku na piątek wrócił Grześ nietylko z pocieszającemi nowinami, ale, co ważniejsza, z piniądzmi. Dla Tadzika przywiózł niespełna trzy tysiące talarów, dla mnie dwa tysiące trzysta.

— Więcej nijak nie mogłem wydusić od Kownackiego — mówił Grześ — a i tak tysiąc pięćset talarów musieliśmy wziąć na cyrograf od Mośka z Raciąża. Niech wciurności chycą Żyda! Na lichwę dał. Ale cóż robić! Jak trzeba, to trzeba i na to niema nijakiej rady.

— A cóż Kownacki?

— A cóż! Krzywił się i skrobał po łysej łepecie i gadał z początku, że on nijakich pieniędzy nie ma i nic nie da, że panicz straśnie dużo wydają w Warsiawie, a on nie chce, żeby Rudniki Żydzi albo Świaby wzięli. No, co robiący, rzekę mu tedy na osobności, że my, niby ja i panicz, jedziemy do legjonów prać Miemców i że na taką wielgą drogę, bo to aż do zamorskich krajów, trza nam huk pieniądzów. Tedy stary, kiej to usłyszy, zara się udobruchał i peda: „Ano kiedy tak, to co jenszego. Co mam w dómu, to to dam, a resztę trza, mówi, dopożyczyć od Moszka. Szelma Żyd zedrze, ale już nijak inaczej być nie może. Więc, co robiący, zara posłał po Żyda... Ale, ale, ja tu gadam, a jakże z tym pojedynkiem?

— Odbędzie się w sobotę.

— W sobotę? Ano to dobrze, bo to dzień Matki Boskiej. Górą nasza! Kiej w sobotę, to pewnikiem panicz Miemca zakantuje. Ale ja muszę iść do kóni.

— Do jakich koni?

— Ano naszych. Przecie ja z Rudnik przyjechałem naszymi końmi.

— A pocóżeś ty brał konie?

— Jakto po co? Po to, żeby na nich jechać. Po co my mamy wynajmywać, kiej mamy swoje i wózek też, dobrze okuty, a lekki, nikiej panienka. A i to też, jeżeli panicz Miemca uśmiercą, to trza dobrze zmykać, żeby nas nie chycili.

W rzeczy samej wózek był doskonały, nowiuteńki i mógł najdalszą drogę wytrzymać; konie młode, silne i wytrwałe, i nie wątpiłem, że gdy sobie odpoczną przez dzień i noc, będą „śmigały, jak wiatr“, według wyrażenia Grzesia, pod warunkiem, że wózek nie będzie zbytnio obciążony. Ale pod tym względem nie było żadnej obawy. Postanowiłem bowiem nic nie brać prócz trochę bielizny, starej dziadowskiej szabli, pistoletów i prochu. W ogólności przyznać musiałem, że tak Kownacki, jak i Grześ, doskonały mieli pomysł co do owych koni i wózka. Mnie to nawet do głowy nie przyszło, ale byłem też czem innem zajęty.

Nakoniec nadeszła sobota. Dziwna rzecz, ale nie miałem najmniejszej nawet obawy; zrezygnowany byłem na wszystko, spałem doskonale i gdy mię Grześ obudził o piątej, zerwałem się rzeźki i prawie wesoły.

Dzień robił się prześliczny i z poza Wisły wznosiło się wspaniałe, jasne, złote słońce. Ubrałem się szybko. Grzesiowi kazałem do upakowanego jeszcze wczoraj wózka zaprządz moją dzielną trójkę, jechać za nami i ukryć się gdzie w lasku; gdybym Niemca postrzelił, miałem zaraz siadać na wózek i uciekać do t. zw. Galicji, która wtedy, jak wiadomo, zaczynała się też za wsią Grochowem. Grześ uzbroił się także w parę krucic i gdy moi sekundanci z doktorem Bergonzonim nadjechali, ruszyliśmy natychmiast ulicą Bednarską ku mostowi.

Z pewnym smutkiem i żałością spoglądałem na ukochane mury Warszawy, w których parę najpiękniejszych lat mego życia przepędziłem. Wzrokiem więc i w milczeniu żegnałem się z kochaną Warszawą, a Dąbski tymczasem mówił:

— Józik, jak dojdziesz do mety, nie czekaj, tylko bierz Niemca na cel, mierz mu w brzuch i pal. Dlatego ci radzę, byś mierzył nizko, że najlepsze nawet pistolety górują. Dobrzeby było, żeby los wypadł na naszą broń; ale jeżeli będzie przeciwnie, opatrz starannie pistolet, czy kurek lekko chodzi i muszka na lufie czy cel zasłania. W każdym razie, powtarzam, mierz nizko — w brzuch lub piersi, a z pewnością kula, jeśli trafi, sam łeb szwabski rozbije. Wiesz, że mówię to z doświadczenia, bom przecie nieraz się pojedynkował.

— A jeśliby cię, czego Boże broń, Niemiec zastrzelił — prawił Tuliński — bądź pewny, że ja twoją śmierć pomszczę. Będę jednego Szwaba po drugim wyzywał i zrazy z nich robił.

Tak rozmawiając, przejechaliśmy Pragę, jeszcze w owe czasy na pół w gruzach leżącą i wydostaliśmy się na gościniec, wiodący do Grochowa. Zdala, po naszej prawej, czerniał ów lasek sosnowy, w którym pojedynek miał się odbyć. Wielkie mgły włóczyły się po polach od strony Wisły i Saskiej Kępy, a od czerwonych wrzosów czerwieniały rowy przydrożne. Żywej duszy nigdzie widać nie było i cisza senna niw jesiennych unosiła się nad nami.

— Zdaje się, że będziemy pierwsi — rzekł Dąbski, oglądając się dokoła.

Ledwie jednak to wyrzekł, gdy z pośrodka zabudowań praskich wysunęły się dwa powoziki, a błyszczące pod słońce mundury świadczyły, że nasi przeciwnicy jadą. Śpieszyli oni bardzo, mimo to o kilka minut wcześniej przybyliśmy na plac walki, z czego Dąbski był nader zadowolony, ano i ja także. Przeciwnicy nasi, wysiadłszy ze swych dwu powozików, ukłonili się nam grzecznie, a sekundanci zaraz odmierzyli plac i poczęło się losowanie, z czyich pistoletów mamy strzelać. Tym razem los mnie sprzyjał, co dobrą było dla mnie wróżbą, bo najprzód znałem doskonale moją broń, wiedziałem jak niesie i jak należy z niej mierzyć, by trafić do celu.

Miejsce, na którem miała się odbyć ta nasza walka śmiertelna, stanowiła niewielka, na kilkadziesiąt

kroków długa, a wązka polanka, dokoła obrosła gęstym zagajnikiem sosnowym. Wymierzono plac, ustawiono nas naprzeciw siebie i na komendę: raz, dwa, trzy! mieliśmy ruszyć, dojść do mety na piętnaście kroków i strzelać. Stałem spokojny i chłodny; upatrywałem tylko, czy Grześ nadjechał, ale niebawem dostrzegłem z boku jego płową czuprynę, twarz ospowatą i wlepione we mnie drobne, siwe, ale bystre jego oczy.

Dąbski, szepnąwszy mi do ucha swą radę, bym, przyszedłszy do mety, nie czekał, tylko odrazu dał ognia, oraz żebym mierzył nizko, klasnął trzy razy w dłonie i na to hasło ja i von Hiller ruszyliśmy wolno, ale spokojnie ku mecie. Nie wiem, jaka tam była moja postawa, choć Tuliński mię później zapewniał, że „miałem minę Sobieskiego“, ale rotmistrz von Hiller, przyznać to muszę, wyglądał dzielnie i spokojnie. Przyszedłszy do mety, przez chwilę mierzyłem, potem dałem ognia. W odpowiedzi na mój strzał rozległ się krzyk:

— Ach! Herr Je...

I z poza dymu ujrzałem Hillera leżącego na wznak na ziemi, konwulsyjnie rzucającego rękami i nogami, z krwawą pianą na ustach. Sekundanci jego skoczyli podnosić rannego, podbiegł ich lekarz i Bergonzoni, zrobił się zamęt, urywane słowa. Niebawem zjawił się i Grześ, zajrzał przez ramię otaczających Hillera i, zbliżywszy się do mnie, szepnął:

— Paniczu, uciekajwa! On tam jeno zipie.

To samo mówił Dąbski.

— Dostał kulą w piersi. Zdaje się, że żyć nie będzie. Niema czego czekać. Ratuj się, Józik!

Nadszedł też poczciwy Bergonzoni i na moje pytanie, jak się ma ranny, rzekł:

— Źle. Kula uwięzła gdzieś w piersiach.

— Ale czy żyć będzie?

— Bardzo wątpię. Rana, o ile się zdaje, jest śmiertelną. Sądzę, że za parę godzin skona. Oto skutki waszego głupiego honoru. Młode życie zmarnowane, przerwane...

Gadał tam jeszcze zacny stary doktór, alem ja go już nie słuchał i, pożegnawszy się z Dąbskim, któremu poleciłem, by moje sprzęty oraz meble sprzedał, a pieniądze odesłał mi do Strasburga, usiadłem z Tulińskim, który mię chciał koniecznie do granicy odprowadzić, na bryczkę i pędem wyjechaliśmy z nieszczęsnego lasku. Grześ powoził, konie były dzielne, nakarmione do syta, wypoczęte, to też lecieliśmy, jak strzała, tylko chmury kurzu za nami się wznosiły. Tuliński zacierał ręce z radości, że taki był szczęśliwy, jak mówił, wynik pojedynku, ja zaś byłem bardzo smutny. Zawsze to miałem życie człowieka na sumieniu...

Przejechaliśmy lasek, wieś Grochów i zdala widać już było pod lasem, koło karczmy Wawer, słupy graniczne.

— Jedź wolno — rzekłem do Grzesia — żeby nie myśleli, że uciekamy.

— Ej, paniczu — ozwie się na to Grześ — lepiej pono będzie, jak weźmiemy się na prawo i zjedziemy z drogi na pola.

— A to na co?

— Na przełaj przez rżysko ominiemy tych tam Szwabów. Nie widzę nijak, by mieli kónie, a choćby i mieli, to naszych nie dogonią i przez żadnego przespieczeństwa wyjedziemy sobie za szwabską granicę.

— Hm! — rzekłem, oglądając się dokoła — może ty i dobrze radzisz. Las niedaleko, a byleśmy się dostali do lasu... Jak myślisz Franek?

Ale Franek Tuliński nic nie odpowiedział, tylko, przyłożywszy rękę do oczu, dla zasłonięcia ich od wprost padających promieni słonecznych, patrzał czegoś pilnie na zabudowania komory pogranicznej i kręcących się koło nich urzędników i żołnierzy.

— Jest Miller! jest! — zawołał nakoniec.

— Co za Miller? — zapytałem.

— A ten mój znajomy urzędnik. Przejedziemy spokojnie. Powiem mu, że jedziemy do Kuflewa, bo pani Mańkowska, a moja kuzynka, jest chora, więc się śpieszymy i nie mieliśmy czasu wystarać o p a s. Trudno, trzeba kłamać, kiedy inaczej nie można. Zresztą Niemiec jest łapownik. Wsadzę mu w garść parę talarów i wszystko będzie dobrze.

— No, to już ja mu dam te kilka talarów — rzekłem.

— A dlaczegóż ty masz dawać?

— Bo to ja uciekam, nie ty.

— Głupstwo! Ty jedziesz do legjonów, potrzeba ci pieniędzy, a ja co? ja zbijam bruki po Warszawie i z Niemcami się kłócę. Daj pokój, braciszku, za nic nie pozwolę, żebyś ty miał płacić. Zresztą, jeżeli ci o to idzie, to daj w mojem imieniu te parę talarów jakiemu biedakowi naszemu w legjonach.

Ustąpiłem, bo miał za sobą rację, ale zrobiłem mu uwagę, że skoro powie urzędnikowi, że udaje się do Kuflewa, to będzie musiał jechać ze mną zagranicę i nie wróci zaraz do Warszawy.

— Ha! jużcić zaraz nie wrócę. Odprowadzę cię jeszcze parę mil i pożegnam. Najmę jaką furmankę i wieczorem będę u siebie. Wracając, powiem Millerowi, że pani Mańkowska ma się lepiej i że ty tam zostałeś jeszcze na parę dni. A może, kto wie, puszczę się i do Kuflewa. Co mi to szkodzi!

Tak rozmawiając, dojechaliśmy do komory, gdzie na dziedzińcu stał już ów Miller i, zobaczywszy Tulińskiego, kłaniał mu się grzecznie i uśmiechał dobrotliwie. Tuliński, ze swj strony, żywo zeszedł z bryczki ,pobiegł do urzędnika, przywitał się z nim głośno, poczem wziął go pod rękę, odprowadził na bok i, gadając coś, a wskazując na mnie oczyma, wsunął mu w łapę srebrne pieniądze. Niemiec skłonił się, machnął ręką i rzekł:

— Gut! gut!

Tuliński pożegnał się z nim, skoczył na bryczkę i krzyknął:

— Jazda!

W parę minut potem byliśmy już za kordonem, w Galicji, wolni i swobodni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

I poco żyć!?

I poco żyć,
Gdy życie ciernie ma?!
I poco śnić,
Gdy sen tak krótko trwa?!
I poco szczęścia
Raz zakosztować,
By prędkiej straty
Jego żałować?!
I poco łudzić się?!

Bo szczęście jasne
Tak prędko minie!
Promień, co zgaśnie,
Zostawi dużo żalu dziewczynie!
Więc poco szczęścia
Raz zakosztować,
By prędkiej straty
Jego żałować,
Gdy już nie wróci się.

Nuśka Steuerówna.

ROZBÓJNICY MORSCY.

Kapitan Holl na duńskim bryku „Anna" znajdował się w Bahji w Brazylji pod koniec października 1835. Dwudziestego t. m. zamierzał odpłynąć do Fernambuco, gdzie chciał złożyć ładunek i powrócić do Europy.

Około południa przyszedł do kapitana człowiek w płaszczu podszarzanym i prosił go o chwilę rozmowy na osobności. Oddalili się obecni, obcy zaś po kilku słowach obojętnych opowiedział, co następuje: „Jestem rodem z Florencji i zowię się Zernetti; od dwóch miesięcy mam w Bahji gabinet figur woskowych, ale mi się w mieście tem nie powodzi. Musiałem nawet zaciągnąć długi, których zapłacić w tej chwili nie mogę; mam więc zamiar udać się do Fernambuco, gdzie wkrótce tyle zarobię pieniędzy, że moich wierzycieli zaspokoję. Ale Brazyljanie są nieubłagani; napróżno im zaręczałem, że im całą należytość z Fernambuco odeślę; zagrozili mi że, jeżeli się do jutra nie uiszczę, zabiorą mi cały gabinet. Aby tego uniknąć, postanowiłem odpłynąć potajemnie. Okręt pański odbija jutro ze świtem; obiecuję więc panu za przybyciem do Fernambuco odwdzięczyć się jak należy, bylebyś tylko w nocy przyjął moje paki, które już będę miał w pogotowiu i które strażnik, mój dobry znajomy, bez trudności przepuści".

Kapitan miał coś do zarzucenia, ale przebiegły Floreńczyk umiał go przekonać i pozyskać przyzwolenie na przyjęcie jego i jego gabinetu.

Poczyniono natychmiast przygotowania i jeszcze tegoż samego wieczoru figury woskowe znajdowały się na statku.

Floreńczyk skoro kotwicę ściągnięto, począł rozmawiać z załogą; przeszła noc i dzień cały spokojnie. Zręcznie potrafił się dowiedzieć o wartości ładunku, ale często schodził na spód dla przekonania się, jak mówił, czy jego figurom nie szkodzi kołysanie się statku.

Te nieustanne odwiedziny obudziły w załodze jakieś podejrzenie, lecz wkrótce o niem zapomniano; bo czegoż się mieli obawiać majtkowie silni i dobrze uzbrojeni przeciw jednemu człowiekowi.

O północy, kiedy część załogi spała, warta posłyszała w sklepie okrętowym gwałtowny łoskot.

Majtek chciał uwiadomić o tem kapitana, który zeszedł do kajuty, ale przekonał się, że było już po niewczasie, bo w głosach błagających o ratunek rozróżnił głos kapitana.



Ledwie miano czas przyjść do siebie, kiedy na pokład wybiegło dwunastu ludzi dobrze uzbrojonych.

Rozpoczęła się rzeź, ludzie ci stali się panami okrętu; porucznik, sternik i kilku majtków padli nieżywi i trupy ich wrzucono do morza.

Jeden tylko chłopiec okrętowy i majtek, który nie spał, korzystając z powszechnego zamieszania wskoczyli po cichu do łodzi i odpłynęli bez żywności, bez kompasu, tylko z nadzieją w Bogu i boleścią w sercu po dokonanem nieszczęściu.

Udało im się przecież dopłynąć do brzegów Brazylji, gdzie swemu konsulowi donieśli o tem, co się stało.

Dowiedziano się później, że mniemany Floreńczyk Zernetti był to rozbójnik morski, którego okręt się rozbił i który szesnastu z swej bandy ukrywszy w pakach, użył tego przebiegu dla zabrania statku Duńczykom.

Hanka.

(Zdarzenie prawdziwe)

Obrzucały ją kobiety wiejskie obelgami — bezwstydnica jakaś! Boga się nie boi! Ludzi nie wstydzi! Hańbę nam przynosi. Hanka tego wszystkiego nie słyszała. Zapatrzona w jeden przedmiot umiłowania swego, Jaśka Zapałę, ojca swego dziecka, nic więcej nie widziała koło siebie. Bo jakże miała widzieć, i co? Zabrał jej sierocie Jasiek serce, później cześć niewieścią. Wszystko to zdobył obietnicą żeniaczki. Kochała go na oślep. Jak pies wierny patrzyła w jego oczy. Nie słyszała przezwisk! Nie widziała szyderczych spojrzeń. Ona widziała tylko swe ukochanie. Czuła jednak, że ją sierotę odepchnie ktoś silniejszy. Może jaka gospodarska córka zawróci głowę Jaśkowi, bo coś się zmieniło pomiędzy niemi. Jasiek był chłodny. Prośby i przypomnienia zbywał, że niema na to teraz czasu. Ból ściskał serce biednej Hanki. Z żalem patrzyła na swe dziecko. Czasem chwytała dziecko rozpaczliwie w swe objęcia jakby je chciała w swym uścisku zamknąć, ochronić od brudów życia na zawsze, a Jaśka błagała, by nie zapomniał o niej. Głuchy był Jasiek na te błagania i zbywał po swojemu. Co innego bowiem miał na myśli. Aż raz w niedzielę biedna Hanka wtulona w najciemniejszy kąt kościoła, usłyszała zapowiedź Jaśka z córką sąsiada dość zamożnego gospodarza.

Jak robak zmiażdżony zawiła się Hanka z bólu. Oszołomiona wyszła z kościoła. W głowie szumiały jej tylko słowa zapowiedzi. Nie słyszała nic, i nie widziała palców, które ją pokazywały, urągając jej boleści. Czuła, że piorun taki straszny, okropny wpadł w jej duszę ze swą siłą żywiołową, że niszczy, targa, drze na strzępy jej i tak już biedne sieroce życie. Jak huk tego piorunu grzmiały jej w uszach słowa — Jasiek zdradził — zapomniał, żeni się z inną. Ją zostawia „na ludzkie zęby", na pośmiewisko ludziom, a dziecko na łzy i dolę sierocą. Nie słyszała też, jak ją macocha witała na progu domu.

— Naści żeniaczkę!... Widzisz, żeni się z inną, boś ty sierota bez honoru i majątku. Jemu trzeba honornej i bogatej, a nie takiej dziadówki, jak ty!...

Hanka nie słyszała urągania, ni widziała, co koło siebie. W jej mózgu wirowała myśl jedna — Jasiek żeni się z inną...

W trzy tygodnie odbył się ślub Jaśka, na który Hanka postanowiła pójść, by mu awanturę przed kościołem urządzić. Lecz zmogła ją jakaś dziwna choroba. Zapatrzona w sufit leżała milcząca, obojętna na świat cały, na wszystko, co ją otaczało. Nawet dziecko jej nie obchodziło. Patrzyła w bezdenną toń nędzy ludzkiego życia i nic nie mówiła. Tak przeleżała pięć tygodni. Dziecko zaczęło się oswajać z tem milczeniem i smutno siadywało codziennie w nogach łóżka zapatrzone w nieruchomą twarz matki. Czasem macocha postawiła przed dzieckiem coś do jedzenia i zapytała Hanki, czy nie chce jeść. Po swojemu milcząc, nic nie odpowiedziała.

Aż raz oczy utkwione w sufit, zesztywniały. Nie zwróciły się ani na dziecko. Szklanne zdawały się jeszcze bardziej wpatrywać w dal pozaświatową. Rano macocha przyszedłszy do izby, zobaczyła już tylko trupa Hanki. W nogach łóżka siedziała sierota Marysia. Nieświadoma, ni śmierci matki, ni smutnej doli sierocej, siedziała spokojnie. Wyniesiono zwłoki Hanki z łóżka i złożono „na desce“, a Marysia usiadła po swojemu w nogach matczynych, i byłaby tak cichutko przesiedziała i dalej, gdyby nie macocha zdjęta litością nie zabrała jej do siebie. Dziecku jakby na moment przyszło jasnowidzenie. Zrozumiało momentalnie, że serce, które dla niego biło miłośnie, zamarło. Krzyknęła tak boleśnie, że zdawało się w tym krzyku skarżyć, obwiniać wszystkich i wszystko za krzywdę swej matki i za swoją dolę sierocą.

A Jasiek, zapytacie? Żył sobie najspokojniej z żoną i miał gospodarstwo.

„Jerychonka“.

Miłość i pieśń.

Franciszkowi Lipińskiemu poświęcam.



Chodź! — śpiewaj i mów,
Nie żałuj lutni ani słów,
Miej zawsze w sercu pieśń świeżą,
A dobrzy ludzie,
W bolu i w trudzie,
Słowom twej pieśni uwierzą.

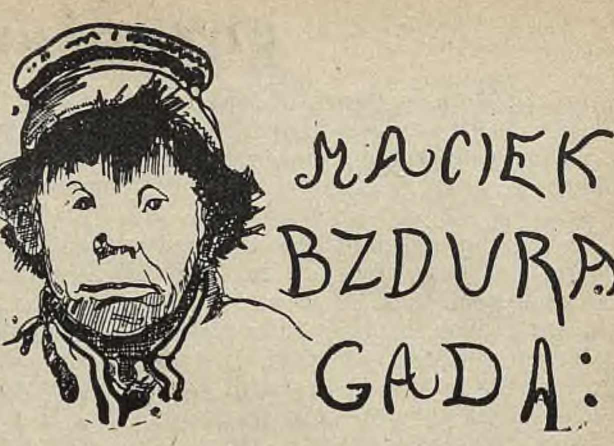
Chodźmy we dwoje,
Na owe znoje,
Serca w takt lutni niech grają,
Bo nieszczęśliwi ci ludzie,
Którzy w tej świata obłudzie,
Prawdziwych braci nie mają,

Śpiewaj, — niech pieśń twoja upoi,
Niech mój ból w sercu„ukoi,
Niech do snu ukołysze.
Choć będziesz śpiewał hen w borze,
W porannej letniej porze,
Ja pieśń twą zawsze usłyszę!

Śpiewaj, — a serca ludzkie jak ptaki,
Gdy im się nędza da we znaki,
Na skrzydłach pieśni do Boga wzlecą,
I w mroku złości,
Blaskiem miłości,
Jak nowe słońca zaświecą...

Chodź! śpiewaj i mów,
Nie żałuj lutni, ni słów,
Chodź między lud ten prosty...
Z ich serc — ofiarą
Spojone wiarą...
Budować z ziemi na niebo mosty.

Józef Kapuściński.



Byle jaką hetką-pętelką z Zatracony Wsi to się ludzie nic a nic nie interesują, ale jak kto stanie na wysokiem stanowisku, to wszyćkie baby w całej wsi o niem ino gadają, jakby nie miały nic insego do roboty. Cemu se to żadna nie wyciera gęby ani Wickiem Makolągwą, co hań siedzi za górecką, ani Wawrzkiem Myrdałą z pod lasu, ani insemi żgacami z tego i z tamtego końca wsi. Ale organistą, co to miska na wysokościach, to cy młoda, cy stara, cy przyścipna, cy jak grzych stara, to kuzda się zajmuje i od świtania do nocy na swojem języku go obraca. A cóż dopiero powiedzieć o takiem wielgaśnem człowieku, jakiem ja jestem. Podniesie cłek wielgi palec do góry, to zaraz wszyćkie kumoski pedzą: Ocho Maciek ma białe baranki we łbie, bo się po niej drapie. Napijes się śklonke wody, to cała wieś jesce tego samego dnia będzie gadała, że Maciek herbu Bzdura ululał się, jak nie babskie stworzenie. I tak ciągiem.

A dopiero, jak człowiek co powie, to wam baby zaraz roztrąbią po całem świecie nicem policjant gminny na jarmaku. Nie wierzycie, a przecie tak jest. W którąsik niedzielę powiedziałem, żebym się z kuždą dzieuchą ożenił, któraby mi ino parę złotych na wiano przysłała. I nieszczęście gotowe. W ocymnieniu baby to zaraz roztrąbiły i już wszyscy o tem wiedzą.

Wiedzą w Krakowie, wiedzą we Lwowie, wiedzą w Warsiawie, wiedzą i w Wilnie, nie mówiąc już o różnych Psich Wólkach i Zatraconych Wsiach. A że wiedzą, to w tem dowód, że mi o tem nawet napisały. Dostałem w tem tygodniu taką moc listów, że moja gospodyni mieli niemi w piecu palić podostatkiem przez styry dni. Jakbym wam je chciał wszyćkie przecytać, to przy tem cytaniu osiem razybyście usnęli i jesce nie byłoby końca. A zreśtą jakzebym je przecytał, kiedy je gospodyni do imienia spalili. Zostawiłem se ino jeden, bo był wirstlami napisany i ten tu wam przecytam, a jest on taki:

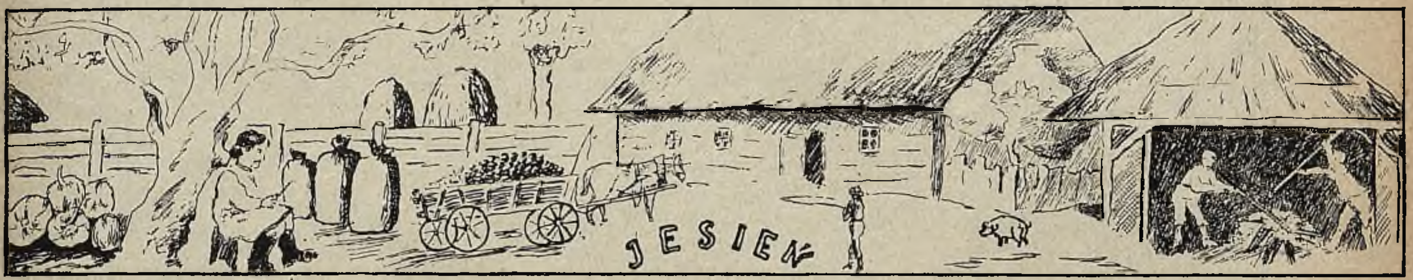
O jej! to ty Maciuś chciałbyś się ożenić,
Jeno chces, zeby ci przysłać grosy parę?
A jakbyś tak potem zechciał se odmienić?
Cyz ja mogę twoim słowom dawać wiarę?
Pises, zbiereźniku: „Z każdą się ożenię
Co pośle piniądze hom na opowiedzi...“
Co ty wygadujes, a mas ty sumienie?
Co też za rogaty w twoi głowie siedzi?
Ty może, jak Turek, chces harem założyć?
A to nieprześpiecne... jabym nie radziła!
Wrazie cego mógłbyś cupryną nałożyć,
A możeby jesce która cię wybiła!
Ja ci dwa złociaki, Maciusiu, posyłam
I przemawiam pięknie do rozumu twego:
Żeń się z jedną, która będzie tobie miła,
A nie bałamuć już więcej rodu niewieściego!

Scakowianka.

Jak organiścinę kocham, jakasik ślachetne dziewusysko ta Scakowianka, bo nie ino napisała, że mi

dwa złociaki posyła, ale je naprawdę przysłała. Co prawda, to ich ta już ni mam, bo jagem je ino dostał, to się mi na taką miłość do ty Scakowianki zebrało, żem se odrazu kupił u Mośka pajdygę chleba i łokieć kiełbasy. Bo miłość miłością, a jedzenie jedzeniem. I choćby nawet miłość była najlepsa, to jesce se jej nikt nie pojadł.

Boji się ta panienka ze Scakowy, cobym ja se w Psi Wólce haremu nie założył. Nima głupich! Przecie ja dobrze widzę, co przejdą gospodarz w życiu bez jedną babę, a jabym se ich brał na kark parenaście? Przecie do tego stopnia głupi nie jestem. A że się nie żenię z jedną, to także mam cas. Niech ta, która ma ochotę przejść się za mnie, jesce nieco rozumu nabierze, niech się podstarzeje, a wtedy, jak będzie leciwsa, dopiro potrafi należycie cłeka usanować. Takie makolągwy do śtyrdziestki to jesce fiu, fiu mają w głowie.



Poradnik gospodarczy.

Do bardzo cenionych warzyw wśród zimy należy kapusta brukselska. Daje się dobrze przechowywać przez zimę wsadzona w piasek w suchej piwnicy. Do przechowania wybiera się kapustę najdorodniejszą, mającą boczne wypustki całkiem wykształcone, ucina się ją przy korzeniu i wtyka w piasek. Ponieważ kapusta dobrze znosi zimno, przeto dopiero po nastaniu silnych mrozów zabezpiecza się ją od zimna. Ponieważ kapusty zimują dobrze w chłodzie i w świeżem powietrzu, należy więc piwnice, gdzie są przechowane, dobrze wietrzyć i utrzymywać chłodno.

Szpinak zostawia się na grzędach, narzucając suchymi liśćmi. Można go używać przez całą zimę, tylko gdy jest silny mróz, to łatwo się przy zrywaniu łamie i kruszy, nie traci jednak na smaku.

Kalarepę obraną z liści po zostawieniu serduszek środkowych dołuje się wraz z korzeniami i dobrze zimuje.

Koper zebrany zielony i suszony, nadaje się do użytku, lecz zakonserwowany w occie ma pierwszeństwo.

Groch cukrowy, jeżeli wyłuszczymy w zielonym stanie, zagotujemy w słonej wodzie, następnie wysuszymy, daje się długo przechować, nie tracąc właściwego smaku.

Sałatę można przechować posadzoną w piasku w suchej piwnicy zabezpieczonej od mrozu przez całą zimę.

Ogórków w świeżym stanie nie można trzymać przez zimę, zato kwaszone możemy mieć do drugiego roku.

Aby ogórki dobrze się trzymały, muszą być zakwaszone w odpowiedniem naczyniu, najlepiej nadaje się do tego beczka dębowa w której już kiszono ogórki lub baryłka z wina. Powinna ona mieć obydwa dna dobrze dopasowane i z boku dziurę, któraby się szczelnie zaprawić szpuntem. Beczkę taką należy dobrze wrzącą wodą wyparzyć przez wyjęte jedno dno zapomocą zdjęcia obręczy. Do kwaszenia i dłuższego przechowania ogórki powinny być młode, zielone, średniej wielkości i świeżo zerwane. Płucze się je dobrze we wodzie i obciera. Następnie na dno beczki daje się warstwę kopru z łodygami, liści winogronu dzikiego, dębowych i wiśni, trochu papryki cebuli i czosnku. Następnie układa się ogórki warstwami stojąco, przekładając warstwy liściami winogronu, dębu i wiśni z dodaniem cebuli i czosnku. Tak postępują aż do wypełnienia całej beczki. Następnie zakładamy dno beczki wsadzamy obręcz. Teraz przygotowujemy wodę do zalania ogórków. W tym celu na 40 litrów dajemy 1 litr soli i łyżkę kuchenną saletry, to zagotowujemy i wrzącą wodą zalewamy przez szpunt ogórki, następnie szpuntujemy dziurę, zalewamy smołą, tak, aby powietrze nie mogło się do środka dostać.

Beczkę ustawiamy na drewnianych podstawach, abyśmy mogli ją raz na tydzień odwracać, aby ogórki wszystkie objąć cieczą. Tak przyrządzone i ustawione w piwnicy ogórki zostawiamy i otwieramy dopiero w miarę potrzeby.

Inaczej postępujemy z korniszonami. Obieramy je późną jesienią, aby pozbyć się z nich kolących brodawek, należy je wytrzeć silnie grubą płócienną ścierką, obciąć końce i wymoczyć od 8—12 godzin w świeżej zimnej wodzie. Zagotować spirytusu octowego i polać nim wyjęte z wody korniszony. Osuszone i wytarte korniszony układamy w słoje, dodając obgotowanej drobnej cebulki i czosnku. Ocet pozostały gotujemy po raz wtóry z pieprzem, liściem bobkowym, goździkami i zalewamy korniszony. Gdy ostygną okrywamy słoje papierem i pozostawiamy tak przez 3 dni, po trzech dniach zlewamy ocet, przegotowujemy i zalewamy nim znów ogórki. Po trzech dniach powtarzamy jeszcze raz to samo, bacząc, aby nie zawiązać nie wystudzonych słoi, następnie dobrze obwiązane słoje najlepiej pęcherzami przenosimy do spiżarni. Tak przyrządzone korniszony dają się latami przechowywać.

Można też świeżo zebrane ogórki pokrajać w talarki jak na mizerję, osolić dobrze, a gdy puszczą sok, zlać go, a ogórki ponownie posolić. Gdy już zupełnie zwiędną i przestaną sok puszczać, osącza się je i układa w słoiki, następnie zalewa się je silnym octem winnem i przechowuje zawiązane.

Chcąc użyć ogórki tak przechowane, osącza się ocet, można przepłukać, gdy za silnie kwaśne, doprawia octem, oliwą, pieprzem i podaje do spożycia.

Przechowując podanymi sposobami różne jarzyny, możemy całą zimę mieć jarzyny dla siebie, a nawet i na sprzedaż, w tym czasie dobrze przechowane, możemy zażądać odpowiedniej ceny, która może stanowić pokaźną rubrykę w naszych dochodach.

Jan Matysik.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.: Augusta Wagnerówna ze Szczakowy 2 zł. Piotr Konefał z Alfredówki dla Maćka na wesele 1·50 zł.

U FURTY KLASZTORNEJ.



Szczęśliwą była, kiedy była młodą
Wesele, radość biły od jej lic;
Świat zachwycała swą cudną urodą,
Z której dziś prawie nie zostało nic.

Gdy była młodą, to rój wielbicieli
Serce swe składał u jej drobnych stóp.
Była, jak anioł, cała w jasnej bieli...
Dziś jej pozostał jeno ciemny grób.

I gdy do furty klasztornej kołacze,
Wspomina dawne swoje szczęsne dni,
I tylko czasem łzą gorzką zapłacze,
I o minionej swej przeszłości śni.

Och jakże szczęście ludzkie szybko bieży,
Jakże wiosenny szybko mija czas!
Zaledwie błyśnie, już w nieszczęść rubieży
Los bezpowrotnie często grzebie nas.

Gdzież te pieszczoty, gdzie te ust uśmiechy,
Którymi ongiś darzył dziewczę świat?
Za jakie dzisiaj cierpieć musi grzechy,
Jako żebraczka u klasztornych krat?

Dzisiaj za mrzonką ulotną nie goni,
Lecz dłoń wyciąga po żywności kęs...
Zamiast uścisku kij żebraczy w dłoni,
A miast uśmiechów oczy pełne łez.

Dawniej swą głowę na kochanka łonie
Wspierała pełną uniesień i złud...
Dziś w cudzej celi wesprze swoje skronie,
Które zmarszczkami zorał życia trud.

Myśli się kłębią, a męcząc okrutnie,
Z ócz wyciskają jej strumienie łez...
To piękne życie tak się kończy smutnie...
W tem szczęście tylko, że życia już kres.

Siedzi staruszka u furty klasztornej
I wije swoich marzeń smutną nić,
I pragnie, aby po pracy mozolnej
Corychlej mogła wreszcie przestać żyć!

Antoni St. Bassara.

KLEMENS JUNOSZA.

Abraham Pinkt i Mateusz Sikora.

III.

Kiedy się stało to nieszczęście, że ziemia się zapadła i Abram z gęsią znikł w przepaści — to była chwila okropna...

Jedno gęgnięcie krótkie, urwane w połowie, ostatnie, jeden jęk przeciągły, trzask łamanego chróstu czy gałęzi, a potem cisza... cisza, ciemność i chłód...

Abramowi zdawało się, że spada długo, bardzo długo, choć w rzeczy samej w oka mgnieniu na dnie owej przepaści się znalazł; gęsi zapewne nie zdawało się nic, bo raz, jako gęś, nie miała wyrobionego sądu o rzeczach, a powtóre Abram ją tak fatalnie przygniótł ciężarem swego ciała, że od razu wyzionęła ducha...

Na głowę Abrama spadła cała fura chróstu, za kołnierz nasypało mu się z garniec śniegu...

Na razie, oszołomiony, przytomność stracił — i upłynęło pewnie z dziesięć minut, zanim przyszedł do siebie o tyle, że mógł zawołać: — aj waj!

Jest to dobry znak. Człowiek, który w nieszczęściu może to słowo wymówić, nie jest całkiem zgubiony — jeszcze ma apelację... Gorzej bywa, gdy krzyknąć wcale nie potrafi, gdy niemoc zwiąże język, a strach zamuruje usta jak cementem.

Z początku zdawało się Abramowi, że wybiła ostatnia jego godzina; ale uszczypnąwszy się mocno w policzek, uczuł ból — a cóż jest wymowniejszym dowodem życia, niż cierpienie? Zresztą, gdyby nie żył, musiałby przedtem widzieć, chociaż przez chwilę ‚strasznego anioła śmierci, patrzącego groźnie tysiącami oczów i wstrząsającego mieczem, na którego ostrym końcu wiszą trzy krople trucizny... Gdyby umarł, bolałaby go dusza, rozłączona nagle z ciałem... a tymczasem boli go tylko kolano, które stłukł sobie, padając...

Cóż go więc spotkało? gdzie jest?

Otóż to najważniejsze pytanie. Może go piekło pochłonęło żywcem, wraz z ową gęsią-kusicielką, która istotnie mogła być posłanniczką złego ducha... Ale nie... W piekle nie może być tak zimno. Twierdzą uczeni, że piekło ma siedemdziesiąt tysięcy ścian — tu niema wcale ściany; w każdej ścianie siedemdziesiąt tysięcy szpar — tu niema wcale szpary; w każdej szparze siedemdziesiąt tysięcy bardzo brzydkich owadów — tu ich także nie widać... Można namacać ręką jakieś gałęzie i śnieg, dokoła ziemię gliniastą... można, rzuciwszy okiem w górę, zobaczyć cokolwiek przeświecający księżyc i na tem bledziuchnem tle czarne gałęzie sosen...

To nie jest piekło — nie, to ziemia, z drzewami, z wiatrem, od którego gałęzie skrzypią i szum się robi. To nie jest życie zaświatowe, ale to, które Abram od kolebki praktykuje, które miało piękne chwile, piękne skórki, i tylko wyjątkowo teraz stało się nad wyraz ciężkiem i paskudnem...

Jest to wielka prawda psychologiczna, że człowiek, który w co niedobrego wpadł, ma tylko jedną myśl: jakby się z tego niedobrego wydobyć... Nie mówiąc o topielcach, prawdę tę mogą poświadczyć obywatele siędzący w kozie, mężowie kłótliwych żon, procedurzyści oskarżeni o kontrabandę i wielu, wielu innych, niemających szczęścia do handlu.

Abram do wyjątków także nie należał. Szukał wyjścia. Obmacał ściany przepaści — były dość gładkie; zaczął poszukiwać na dnie, czy nie znajdzie jakiego narzędzia, sznura, drabiny, czegokolwiek. Namacał przeklętą gęś. Była jeszcze trochę ciepła, ale martwa i nieruchoma. Kopnął ją nogą ze złością — czemu nie trzeba się dziwić: ona była główną sprawczynią nieszczęścia, więc też Abram nie uważał za konieczne być względem niej uprzedzająco grzecznym i galantem. Gdyby nie ona, nie jej głupie gęganie, Abram siedziałby teraz w ciepłej stancji u Kogucińskiego, targował się z nim o skórki, może byłby je już nabył dotychczas — a tak...

Są podobno jakieś pół-kobiety pół-ryby śpiewające, które zamieszkują w wodach i wdzięcznym głosem wabią nieostrożnych na pewną śmierć lub nieszczęście. Warte one akurat tyle, co ta gęś!

Abram mozoli się, szuka sposobów wyjścia z jamy, ale nie może ich znaleźć. Wpada w gniew, złorzeczy i na płacz mu się zbiera, a zarazem czuje się zawstydzonym — dlaczego dał się skusić? On! mądry człowiek, stateczny mąż, pierwszy znawca skórek, dał się oszukać głupiej gęsi.

To istotnie wstyd!

Wydobyć się z przeklętej jamy niesposób. Żeby choć było widno — ale księżyc taki dziś skąpy, żałuje odrobiny światła. Do dnia czekać... Zimowa noc długa jest jak nieszczęście — można zmarznąć, zanim widno się zrobi. Już półtorej godziny szarpał się Abram w swem więzieniu, gdy nagle uszu jego doszedł odgłos jakiś niewyraźny — zdawało mu się, że ktoś idzie, bo stukanie powtarzało się równo, miarowo, czasem cichsze, widocznie przez śnieg tłumione, to znów wyraźniejsze nieco, to wywołujące suchy trzask. Widocznie idący nastąpił na zeschłą gałązkę i złamał ją.

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś idzie i że zmierza wprost ku przepaści. Ktokolwiek jest, poratuje, da pomoc, — ale trzeba mu dać znać o sobie, niech nie ominie tej jamy, nie zwróci kroków w inną stronę, niech wie, że nieszczęśliwy potrzebuje ratunku. Była chwila wahania... Abram pomyślał, że może ten, co nadchodzi, jest zły człowiek, rozbójnik? Ale nie. Cóżby robił w lesie o tej porze? Zapewne jest to jaki gajowy, kłusownik, złodziej leśny — takich zaś Abram zna i nie obawia się wcale.

Gdy Abram zaczął wołać o pomoc głosem wielkim, odgłos kroków ucichł. Idący zatrzymał się, stanął za sosną i słuch wytężył, nie mogąc sobie na razie zdać sprawy z tego, co się dzieje.

Tymczasem płaczliwy lament nie ustawał. Mateusz — gdyż on to właśnie szedł, — mający niezmiernie czułe ucho na wszystkie szmery leśne, łowiący najmniejszy szelest i zawsze zdolny rozróżnić, skąd on pochodzi, tym razem nie mógł nic wymiarkować. Głos był tłumiony, dobywający się jak gdyby z piwnicy. Mateusz poznał tylko, że to lamentuje żyd i że głos jego dziwnie jest podobny do głosu Abrama.

Co, u licha?

Powoli, z zachowaniem wszelkich ostrożności, szedł Mateusz ku miejscu, z którego odzywały się jęki, a po chwili nie miał już żadnej wątpliwości, że ratunku wzywa Abram.

— Abramie! Abramie! — zawołał — gdzie jesteście?

— Albo ja wiem? — odezwał się głos płaczliwy, prawie przy nogach Sikory — albo ja wiem?... Jestem w bardzo niedobrem miejscu.

— Skądżeście się tu wzięli?

— Ja nie wiem, dalibóg! Była gęś... gęgała... chciałem ją wziąć... ziemia się zawaliła, wpadłem... gdzie?... może do piwnicy, może do suchej studni...

— Aha! — rzekł Mateusz — to już wiem: wpadliście w wilczy dół.

— Wszystko mi jedno, gdzie wpadłem, tylko pomóżcie mi wyleźć, mój panie Mateuszu, ja was bardzo proszę, pomóżcie mi... ja wam doskonale sprawę poprowadzę, ja wam świadków dobrych dam, ja was poczęstuję, tylko mnie stąd wyciągnijcie...

— Cicho! no cicho! — odezwał się chłop — nie potrzeba krzyczeć, ani głośno gadać, bo to las, a w lesie sosny mają uszy... Czekajcie-no...

Mateusz zdjął z siebie pas rzemienny, wydobył z kieszeni kawał sznura, i związawszy jedno z drugiem, miał czem Abrama wyciągnąć. Zbliżył się do dołu i jeden koniec sznura wpuścił w głąb.

— Przewiążcie się w pasie mocno — rzekł, — to was wyciągnę. Też ochota, żeby w wilczy dół włazić... Nie wiem, co wam się na starość przywidziało...



Mateusz wyciąga Abrahama z jamy.

Mateusz mruczał gniewnie, Abram tymczasem przewiązywał się rzemieniem.

— Aby mocno związać — radził Sikora.

— Nu, nu, już ja krępuję się na moc, na dziesięć węzłów. Oj, Mateuszu, panie Mateuszu, chyba was sam Pan Bóg w to miejsce przyprowadził. Skąd wyście się tu wzięli po nocy?

— A wy skąd?

— Ja do Kogucińskiego szedłem za skórkami, i przez tę gęś... niech ją licho porwie!...

— Ja też do niego. No, związaliście już?

— Już. Albo czekajcie, jeszcze jeden węzeł... zawsze będzie bezpieczniej. No, już!...

— Ciągnę, a wy rękami i nogami pomagajcie sobie... aby na wierzch.

— Aj, aby na wierzch!...

Mateusz oparł się silnie na nogach i ciągnąć zaczął. Nie łatwo to szło, bo Abram był ciężki; uniósł go na pół łokcia w górę.

Nagle Abram zawołał:

— Czekajcie!

— Cóż?

— Spuście mnie jeszcze na dół... zapomniałem...

— Czego?

—Nu, trzeba przecie zabrać gęś... po co ona w dole ma zostawać...

— Toć nie wasza.

— Jakto nie moja? czyja ma być?

— Tego, który dół zrobił.

— Niech go nieszczęście spotka za ten dół, a gęś moja, bo ją znalazłem; niech choć to mam za moje cierpienie, za strach...

— Owarjował stary! — mruknął Mateusz, popuszczając sznur.

Abram namacał przedmiot swych poszukiwań, uczepił go u pasa i zawołał:

— Nu, Mateuszu, już!

Chłop wytężył wszystkie siły, pociągnął... ale zaledwie do wysokości łokcia mógł Abrama podźwignąć. Ziemia była pokryta śniegiem, więc punkt oporu dla nóg niepewny — śnieg się z pod nich usuwał.

Próżno Mateusz używał całej siły swych jędrnych muskułów — nie mógł poradzić. Żyły, jak baty grube, wystąpiły mu na skronie.

— A bodajże cię !— mruczał — toćby wołu już wydobył. Sposobu niema... takie żydzisko ciężkie.

— Oj, żeby moje wrogi takie ciężkie życie mieli...

— A, wrogi... wy zawsze z wrogami! Puśćcie-no w ruch nogi i ręce, drapcie się po ścianie, bo ja rady nie dam.

— Nie mówcie takie słowo!

— Sprawiedliwie... Ciemno, choć oko wykol... miesiąc za chmury się schował. Żeby było widno, wiedziałbym przynajmniej, o co się oprzeć...

— No, nie straszcie mnie, Mateuszu... ciągnijcie mocno. Wy, taki silny mężczyzna, co się pięciu gajowych nie zlękniecie, nie dalibyście rady biednemu żydkowi?... Co ja ważę?... ja nic nie ważę... trzy skórki zajęcze mają większą wagę, niż ja... Ciągnijcie, proszę was...

— Dalibóg, nie dam rady...

— To co będzie? — zapytał niespokojny Abram.

— Albo ja wiem?

— Bójcie się Boga, Mateuszu, przecie ja tu nie mogę nocować w tym szkaradnym dole...

Mateusz nie odpowiedział — namyślał się.

— Słuchajcie no, Abramie — rzekł już po chwili, która się Abramowi wiekiem wydała, — tu jeszcze z godzinkę posiedzicie...

— Co?

— A tak. Wy tu zostaniecie, a ja pójdę po Kogucińskiego; we dwóch wydźwigamy was... ja sam nie potrafię. Odwiążcie sznur.

— To nie może być, ja was nie puszczę — zawołał Abram pół z płaczem, — wy musicie mnie wydobyć!...

— Próbowałem, ale nie mogę.

— Nie, wy możecie, wy musicie módz... ja wam każę módz... ja was proszę, Mateuszu... ja z wami tyle lat handlowałem, ja was nigdy nie ukrzywdziłem... ja was wynagrodzę, ja was pieniądzmi obsypię, ja wam całe dwa złote dam...

— Mój Abramie, co to pomoże? — tłómaczył chłop — nie dam rady i tylo. Po co bałamucić i tracić czas... Idę.

— Proszę was ,jeszcze raz spróbujcie.

— Et! próżny zachód, i tyle.

— Spróbujcie... ja wam pomogę, będę się czepiał rękami i nogami... Mój Mateuszu!...

— Skoro koniecznie, spróbuję... ale już ostatni raz.

Owinął sznur koło ręki, oparł się mocno nogami i z całych sił ciągnąć zaczął. Abram gramolił się po ścianie dołu, wykrzykując radośnie:

— Git, git!... jeszcze trochę... aj, Mateuszu, wy macie moc... wy ciągniecie jak maszyna parowa... wy wielki mocarz... wy jesteście...

Nie dokończył zdania, gdyż ziemia, naciśnięta ciężkim butem, osunęła się i chłop wpadł do dołu.

— A niechże cię siarczyste! — zawołał — potrzeba mi było żyda słuchać...

Abram dygotał z przerażenia.

— Chyba cię tu na pieprz utłukę, stary cyganie...

— Wyście mnie już i tak utłukli — jęczał Abram. — Zbiłem sobie drugie kolano... a co teraz będzie? co teraz będzie?

Chłop milczał.

— Mateuszu, ja was pytam: co teraz będzie?

— Będziemy siedzieli w dole, jak wilcy, dopóki nas kto nie wydobędzie. Dobrze mi tak, że głupiego słuchałem... i strzelba tam została pod drzewem... Żeby was!... mruczał dziad jak niedźwiedź, a był tak rozgniewany i zły, że Abram bał się odezwać.

Wtulił się w kąt i przykucnął na ziemi, zdawszy się zupełnie na wolę losów. Już nie wysilał mózgu nad sposobami wydobycia się z kłopotu. Na co? Jest przecie Mateusz — niech psuje sobie głowę; on się na takich rzeczach rozumie lepiej, niż najlepszy handlarz skórek...Z gorszej biedy wydobywał się nieraz.

Chłop czasu nie tracił: Wydobył zapałkę z kieszeni, potarł o szorstki rękaw kapoty, zaświecił. Dół był głęboki, ściany miał ścięte równo; na dnie leżało trochę chróstu.

Mateusz ostrożnie zgasił zapałkę — ciemność wydała się jeszcze większa.

— Na co gasicie ogień? — odezwał się Abram szeptem.

— Bo tak trzeba — odrzekł kłusownik szorstko.

Przykucnął na ziemi i zaczął po omacku szukać między chróstem grubszych gałęzi. Znalazł kilka, połamał je i usiłował wbijać w ścianę dołu.

— Żebym choć brzegu ręką dostał — mówił.

Ale kołki niezaostrzone nie dały się utkwić w twardej ziemi, zresztą nie było czem wbijać. Widząc, że nie da rady, chłop dał za wygranę; wydobył krótką fajkę z kieszeni, zapalił ją i usiadł na ziemi.

— Co wy myślicie robić? — zapytał Abram.

— Czekać dnia — rzekł Mateusz flegmatycznie.

— Całą noc?

— A juści!... zanim dzień będzie, to noc upłynie. Od niepamiętnych czasów tak bywało...

— Wy chyba jesteście drewniany człowiek, Mateuszu! — zawołał Abram.

— Dlaczego?

— Jakto?... tu jest dół, dziura w ziemi, noc, nieszczęście!... a wyście sobie siedli, jak u siebie w izbie, i palicie fajkę! Tfy!... tak tylko głupi ludzie robią.

— A cóż mądrzy powinni czynić?

— On się pyta, co czynić! Ratować się, szukać sposobu, skakać do góry, krzyczeć gwałtu!

— Ja wolę fajkę palić...

— Ja wiem... on woli fajkę palić! Możebyście woleli położyć się całkiem i spać na tych patykach i na śniegu, jak na pierzynie?...

— A jakby Abram wiedział; skoro mi się spać zechce, to się położę i zasnę.

— Czysty warjat! A co ja mam robić?

— Abram niech skacze do góry i prosi Boga, żeby kto trzeci do naszej kompanji nie przyszedł.

— Jaki trzeci? skąd? co on za jeden jest?

— Wilk.

— Pfe! dajcie pokój, niech jego nieszczęście, niech on lepiej nogę złamie!... co on ma do nas za interes?...

— Do Abrama wilk zawsze ma interes, bo nosi na sobie skórę na sprzedaż; piękna skóra kilka rubli warta... potargujcie...

— Wy, Mateuszu, macie taką lekkość do żartów, jak krowa do tańca... po co takie głupstwa powiadacie?... jeszcze w takiem miejscu i po nocy!

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Nasz konkurs. Chcąc zacząć jak najszybciej drukowanie prac nadesłanych na konkurs, a przez sąd konkursowy nagrodzonych, zamykamy z dniem 31 b. m. termin nadsyłania utworów. Kto więc z Czytelników ma przygotowany utwór na konkurs, niech go corychlej przysyła.

Pożyczka dla Polski. W ubiegłym tygodniu została podpisana przez rząd polski z bankierami amerykańskimi pożyczka w wysokości 72 miljonów dolarów. Cenę emisyjną oznaczono 92 dolary za 100 dolarów. Pożyczka jest 7-procentowa. Fundusz amortyzacyjny, wystarczający do wycofania całej emisji w terminie płatności, będzie wynosił w ciągu pierwszych czterech lat 4 procent od sumy wykupu pożyczki, wynoszącej 103 procent jej sumy minimalnej i będzie wzrastał o pół procent co każde cztery lata. Pożyczka zostaje zaciągnięta na lat 20. Rządowi polskiemu zostaje zarezerwowane prawo przedterminowego skupu pożyczki po 10 latach po kursie 103 dolarów. Jak z tego widzimy, pożyczka ta została zawarta na warunkach bardzo korzystnych dla Polski, a zasługa w tem naszego rządu.

Zamach rewolwerowy na narzeczoną. W Łękawce pod Tarnowem zaszedł tragiczny wypadek, który omal nie spowodował śmierci młodej dziewczyny. Niejaki Jan Ciurej z Łękawicy miał narzeczoną Zofję Nowakównę, która zbyt często dawała powód do zazdrości. Zdenerwowany parobczak przed kilku dniami strzelił z rewolweru do Nowakówny, raniąc ją w lewą rękę i szyję, poczem uciekł. Życiu dziewczyny nie grozi niebezpieczeństwo. Za Ciurajem policja czyni usilne poszukiwania.

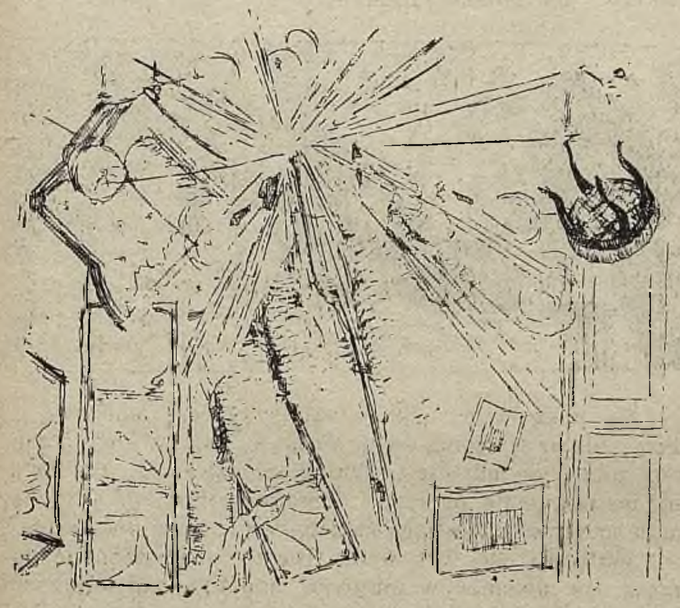
Samobójstwo kleryka w Przemyślu. Z Przemyśla donoszą: Onegdaj w południe został Przemyśl wstrząśnięty samobójstwem popełnionem przez jednego z ruskich kleryków w zakrystji cerkwi katedralnej. Według informacyj jeden z alumnów ruskiego seminarjum duchownego nazwiskiem Drymała od dłuższego czasu cierpiał na silny rozstrój nerwowy, pod którego wpływem pozostawał w stałej depresji. Nikt jednak nie posądzał go o myśli samobójcze. We środę w południe denat wyszedłszy ze seminarjum udał się do cerkwi, skąd po pewnym czasie rozległo się echo strzału. Kiedy dozorca zaalarmowany strzałem wtargnął do kruchty cerkiewnej natknął się w niej na ciepłe jeszcze zwłoki młodego samobójcy. Śmierć Drymały, który już był bliski ostatnich święceń, wywołała wśród kleru ruskiego bardzo silne wrażanie.

Rabusie. W powiecie peczeniżyńskim grasuje obecnie jakaś bandycka szajka włamywaczy, która, uzbrojona w karabiny, jest postrachem całej okolicy. Onegdaj znów w nocy cała ta banda, zbrojna od stóp do głów, napadła na dom Wasyla Mykiciuka w Kluczowie Wielkim. Osobnicy ci, wdarli się niespodzianie siłą do mieszkania, i, zagroziwszy obecnym śmiercią, w razie stawiania oporu, splądrowali cały dom i obrabowali go doszczętnie. Między innymi zabrali też 65 dolarów, 425 złotych oraz inne przedmioty. Po dokonaniu tego czynu, bandyci natychmiast zbiegli, zacierając za sobą wszelkie ślady. Policja w powyższej sprawie prowadzi energiczne dochodzenia.

Pożar wagonu kolejowego. W radomskiej dyrekcji kolejowej wydarzył się onegdaj dość niezwykły wypadek. Na jednym z wagonów - platform pociągu towarowego, idącego ze stacji Bąkowce do stacji Garbatka, znajdował się duży wóz meblowy, w którym transportowane były rzeczy jakiegoś oficera. W drodze wóz meblowy zapalił się i począł płonąć bardzo gwałtownie.

Zanim pociąg doszedł do Garbatki, wóz spłonął doszczętnie. Śledztwo w tej sprawie w toku. Zdaje się, że winę pożaru ponosi właściciel mebli, który prawdopodobnie wstawił do wozu meblowego bańkę z benzyną, czy też jakimś innym łatwopalnym materjałem; bańka ta w drodze rozbiła się, wytworzyły się łatwopalne gazy, które w pewnym momencie wybuchły. Platforma, na której stał wóz, została lekko uszkodzona przez pożar.

Niesmaczny żart, czy zbrodnia. Jak wiadomo, co roku w październiku obchodzą żydzi święto kuczek. Religijny ich obrzęd nakazuje im budowanie szałasów, zwanych kuczkami, w których żydzi się modlą. Taką kuczkę wybudował sobie pewien żydek w Warszawie przy ulicy Białostockiej. Onegdaj o godzinie 8 wieczorem mieszkańcy tej ulicy usłyszeli silny huk i ujrzeli kuczkę owego żyda w obłokach dymu. Trzask pękających szyb w sąsiednich domach oraz kłęby dymu unoszące się opodal miejsca wybuchu świadczyły, że eksplodowała jakaś o dużej sile materja.



Przerażeni żydzi, zamiast gasić ogień, rzucili się do ucieczki. Wkrótce nadbiegja policja i straż ogniowa, która ogień ugasiła. Z doraźnie przeprowadzonego dochodzenia wynika, że pod kuczkę jakieś zbrodnicze ręce podłożyły nieznany co do składu swego materjał wybuchowy z przypuszczalnie doprowadzonym lontem i w pewnej chwili lont ten podpaliły. Chodziło tu prawdopodobnie o zamach na właściciela kuczki, którego jednakże w chwili wybuchu w kuczce nie było. Na szczęście poza zniszczeniem części parkanu i uszkodzeniem szyb w oknach, wybuch groźniejszych następstw nie spowodował.

Niezwykły wypadek w bożnicy. Pisma warszawskie donoszą: Niezwykła katastrofa wydarzyła się onegdaj w bóżnicy na Nalewkach. W ogromnej rzęsiście oświetlonej sali odbywało się wielkie zgromadzenie nabożnych. Nagle w chwili, gdy kantor zawodził pieśń, z sufitu posypał się na głowy zebranych tynk. Modlący się spojrzeli w górę z przerażeniem. Sufit wyginał się w ich stronę, trzeszcząc złowieszczo. Tynk sypał się jak grad. W bóżnicy zapanowała śmiertelna cisza. Rozdarł ją nagle krzyk Mozesa Szpilfogla, którego kawał muru uderzył w głowę. Rzucono się do ucieczki. Przy drzwiach powstał ścisk. Spora gromadka co silniejszych już wybiegła na schody, gdy za nimi rozległ się głośny trzask i huk. Ze stropu posypały się cegły, deski i belki, zakłębił się piasek, pomieszany z wapnem. Runął sufit. Wśród tumanów kurzu zakotłowało się, ludzie wpadali jedni na drugich, nie wiedząc w panicznym lęku co robią. Tymczasem część szczęśliwych wypadła na ulicę i biegnąc w stronę ulicy Gęsiej, wołała rozdzierającym głosem o ratunek. W ślad za nimi rzucili się zdezorjentowani tą sceną przechodnie i cała ta grupa, rosnąc coraz bardziej w sile, niosła hiobową wieść o „trzęsieniu ziemi". Dopiero, kiedy w sprawę tę wdała się zaalarmowana policja i przedstawiciele jej przybyli na miejsce, zbadano istotę wypadku i jego przyczyny. Okazało się, iż mieszkająca nad bóżnicą Fajga Luksemburgowa, osoba ważąca tylko 100 kilo, siadając na krześle, nagle uczuła, że ugina się pod nią podłoga i nim mogła się zorjentować, runęła z kilkumetrowej wysokości o piętro niżej do bóżnicy.

Pastuch miljonerem. Do niejakiego Juljana Klatta, 76-letniego biednego starca, pasającego bydło u gospodarza Erdmanna we wsi Radicz, w Poznańskiem, zapukała nagle fortuna. Oto siostrzeniec jego Edward Kinast, przebywający w Ameryce, zawiadomił go w drodze urzędowej, że Klatt otrzymuje w spadku po swym zmarłym bezdzietnie w Ameryce synu 5 miljonów dolarów. Tę kwotę otrzymał już drogą przekazu Bank Polski w Warszawie, nie mógł jej jednak wypłacić właściwemu odbiorcy z braku dokładnego adresu szczęśliwego odbiorcy. Dopiero siostrzeniec, udawszy się do Polski, wyszukał staruszka, który urodził się w czepku.

Plaga wilków w Rosji. Plaga wilków w północnych guberniach Związku Sowieckiego przyjmuje zastraszające rozmiary. Ostatnio na wieś Wołówkę na Murmanie napadło ogromne stado wilków. Wilki porwały znaczną liczbę sztuk bydła oraz rozszarpały 7 mieszkańców wsi. Oddział milicji, który przybył do wsi, ogniem karabinowym rozproszył napastników, zabijając kilkadziesiąt sztuk.

Upały na Syberji. Podczas gdy u nas coraz zimniej, w północnej Rosji i na Syberji zapanowały niebywałe w tej porze upały, dochodzące w niektórych miejscowościach aż do 35 stopni Celsjusza. Zjawisko to nieznane jest dotąd w dziejach Syberji i najstarsze kroniki nie notują takiej temperatury u schyłku jesieni, kiedy normalnie dają się już odczuwać znaczne chłody. Niezwykłe o tej porze upały wywołały popłych wśród ludności, która spodziewa się jakichś nadzwyczajnych kataklizmów. Zjawili się już nawet prorocy, którzy zapowiadają bliski koniec świata lub conajmniej — powrót cara na tron rosyjski.

Przeczucie bliskiej śmierci. Zdarzają się bardzo często ludzie, którzy mają przeczucie bliskiej śmierci. Obecnie dzienniki zanotowały dwa bardzo ciekawe wypadki w tej dziedzinie. W miejscowości Kreiensen obok Berlina żył robotnik Knobel, który pewnego pięknego dnia opowiedział, że miał w nocy ciekawy sen. Śniło mu się mianowicie, że został przejechany przez pociąg. Nikt tego snu nie traktował na serjo, ale gdy Knobel na drugi dzień, prowadząc wózek, musiał przejść przez tor kolejowy, nie zauważył, że nadjeżdża pociąg, który go zabił na miejscu. O wiele ciekawiej przedstawia się inny wypadek, który zdarzył się we Francji. Stary jeden pan, liczący 76 lat, przepowiedział sobie dokładnie datę śmierci, a mianowicie w kwietniu b. r. doniół p. Dancause swojej rodzinie, że umrze dnia 1 października o godzinie 12 w nocy. Żona sprowadziła do niego lekarza, który skonstatował, że Dancause jest zupełnie zdrów. I rzeczywiście dnia 1 października Dancause położył się do łóżka. Przywołany lekarz skonstatował zapalenie płuc, podwyższoną temperaturę, lecz nie uważał sytuacji chorego za niebezpieczną. O wpół do 12-tej w nocy chory się podniósł i spytał się, która jest godzina. Żona, chcąc go uspokoić, powiedziała, że jest

godzina druga. Lecz chory tonem zupełnie pewnym zaprzeczył temu, mówiąc: Niema jeszcze 12-tej, gdyż o tej godzinie muszę umrzeć. O godzinie 12 chory odwrócił się do ściany i zdawało się, że usnął. Zaniepokojona żona przystąpiła do niego, wtenczas chory odwrócił się wskazał palcem na zegar, który wybił właśnie godzinę 12 i w kilka sekund potem umarł.

Zbrodnia obłąkanej matki. Donoszą z Paryża o strasznej zbrodni, która się wydarzyła w Sahrburgu, w Lotaryngji. Oto jedna z kobiet tamtejszych w napadzie szału mistycznego zamordowała czworo dzieci od lat 2 do 10, zanurzając jedno po drugiem w wodzie tak długo, póki nie utonęły. Po dokonaniu tego strasznego czynu, zgłosiła się na posterunek policji, oświadczając, że dokonała tego czynu, ażeby powiększyć służbę aniołków w niebie. Kobieta ta została natychmiast aresztowana i oddana do domu obłąkanych. Ojciec zaś, dowiedziawszy się o tym strasznym czynie swej żony, dostał pomieszania zmysłów.

Ogolony trup. W Aosta, w północnych Włoszech, zaszedł w tych dniach wypadek istotnie niezwyczajny. Do jednego z tamtejszych fryzjerów przyszedł starzec sześćdziesięcioletni, który kazał się ogolić. Ponieważ po dokonaniu przez fryzjera tej czynności klijent nie wstawał, właściciel zakładu pochylił się nad nim i głośno oświadczył, że golenie już skończono. Ponieważ i na to nie było odpowiedzi, fryzjer pomyślał, iż staruszek zemdlał pobiegł więc po lekarza. Jakież było jego przerażenie, gdy lekarz stwierdzić mógł tylko zgon starca; zgon to był tem dziwniejszy, iż staruszek w ciągu golenia nie zdradził żadnym ruchem słabości swej.

225 bandytów na ławie oskarżonych. W tych dniach rozpoczął się na Sycylji, w miejscowości Termini-Inerese, proces przeciwko szajce bandytów, która teroryzowała okolicę i dopuściła się mnóstwa zabójstw, napadów z bronią w ręku, rabunków i kradzieży. Na ławie oskarżonych zasiądzie 225 ludzi. Oskarżonych będzie broniło 50 adwokatów. Jest to jeden z największych procesów, jakie notują roczniki sądowe po wojnie. Banda grasowała głównie w okolicach Madonji, ale poszczególni jej członkowie zapuszczali się „indywidualnie" nawet w najdalsze okolice wyspy. Oryginalną stroną procesu jest fakt, iż dotąd nie udało się władzom dowiedzieć, jak brzmiała „urzędowa" nazwa całej bandy. Jeden z dzienników w Syrakuzach wyraził przypuszczenie, że nieprawdą jest, jakoby wszyscy oskarżeni byli członkami jednej i tej samej bandy i że ma się do czynienia z wspólnikami kilku, a nawet kilkunastu band.

Oryginalna reforma. W Anglji żywo obecnie dyskutowany jest projekt, zmierzający ku numeracji stronic w odwrotnym porządku. Inicjatorzy motywują go względami natury psychologicznej, — dla każdego mianowicie ważnem jest nie to, ile stronic on już przeczytał, ale raczej ile pozostało mu do skończenia książki. Numerowanie kartek w odwrotnym porządku zaspakaja odrazu tę ciekawość, oszczędzając kłopotliwego dla słabych matematyków odejmowania.

Rozwody w Anglji. Społeczeństwo angielskie jest żywo zaniepokojone olbrzymim wzrostem rozwodów. Świeżo ogłoszona statystyka wykazuje, że ilość spraw rozwodowych w Anglji wzrasta z roku na rok, a już prawdziwa orgja rozwodowa rozpoczęła się w latach powojennych. W pięcioleciu 1901—1905 przeciętna roczna ilość spraw rozwodowych w Londynie wynosiła 573, w latach 1906—1910 już 624, w 1911—1915 nie wiele więcej, bo 656, a już w 1916—1920 aż 1510, w 1921—1925 2734, a w 1927 r. aż 3500. Ten znaczny wzrost spraw rozwodowych w bieżącym roku prawnicy angielscy tłumaczą rozporządzeniem, które niedawno weszło w życie, a zabraniającem prasie ogłaszania szczegółów z procesów rozwodowych. „Prasowy dekret rozwodowy" pozbawił wprawdzie czytelników pism angielskich pikantnych okoliczności rozwodowych, ale jednocześnie pobudził do rozwodów ludzi, obawiających się do chwili ogłoszenia „dekretu" ujawniania swych tajemnic rodzinnych. Dodać jeszcze należy, że wszystkie niemal procesy rozwodowe w Anglji toczą się na podstawie zdrady małżeńskiej i w każdym procesie jest z reguły ujawniony t. zw. „co-respondent", czyli ten, lub ta trzecia — współwinny, lub współwinna zdrady małżeńskiej.

Skutki drażnienia osła. W Londynie, w pewnym teatrzyku, gdzie przedstawiają wyuczone różnych sztuk zwierzęta, jak psy, koty, konie, pokazywał się też osioł, który umiał rozmaite bardzo zabawne figle. Gdy niedawno prowadzono go, jakiś jegomość podrażnił go. Osioł wyrwał się wiodącemu go chłopcu i z wściekłością wpadł na napastnika obalił na ziemię, pogryzł go po twarzy i potratował kopytami.



Na naszym obrazku widzimy zwierzę nad swą ofiarą; ludzie zbiegają się zewsząd do osła, którego z trudem udało się odpędzić. Drażnienie zwierząt, dokuczanie im jest samo przez się niegodnem dobrego człowieka, a częstokroć pociąga za sobą bardzo przykre skutki.

Samolot na 100 osób. Gazety amerykańskie donoszą, że obecnie w budowie znajduje się olbrzymi dwupłatowiec, mogący pomieścić stu pasażerów. Ten samolot olbrzym ważyć będzie około 50 tysięcy kilogramów, a na długość mierzyć będzie 30 metrów. Skrzydła będą miały 60 metrów długości. Załoga samolotu składać się będzie z sześciu ludzi, a szybkość jego wynosić będzie 170 kilometrów na godzinę. Pasażerowie mieścić się będą w dwu oddziałach i będą mogli spożywać posiłek za ruchomemi stołami.

Niebezpieczny konkurs pływacki. W tych dniach odbył się na Przylądku Dobrej Nadziei konkurs pływacki, do uczestniczenia w którym potrzeba było odwagi niezwykłej. Konkurs odbył się na przestrzeni 12 mil morskich, dzielących wysepkę Fokową od Kapsztadu, a wody na tej przestrzeni roją się od olbrzymich rekinów-ludojadów. Wprawdzie dwunastu uczestnikom konkursu towarzyszyły szalupy motorowe, których załogi uzbrojone były w harpuny i karabiny, aby zgładzić każdego rekina, zanadto zbliżającego się do pływaków. Niemniej trudno byłoby uniknąć nieszczęście, gdyby choć na mgnienie oka zaniechano czujności. Z pośród sześciu kobiet i sześciu mężczyzn, uczestniczących w konkursie, zwyciężyła najmłodsza z pływaczek, piętnastoletnia Peggy Duncan, dopłynąwszy sama jedna do celu, wszyscy bowiem jej współzawodnicy musieli, wskutek zmęczenia, zaniechać wysiłku. Wytrwała młodociana pływaczka powitaną została owacyjnie przez tłum, oczekujący na wybrzeżu.

RZECZY CIEKAWE.

Wejście do piekła.

Duński geolog dr. Niels Nielsen wrócił temi dniami z interesującej, lecz niebezpiecznej wyprawy w głąb Islandji, na zachód od lodowca Vatnajokul. Obszar zbadany przez tę ekspedycję należy do najciekawszych tego rodzaju okolic świata. Ekspedycja dra Nielsena stwierdziła, że wulkaniczne wybuchy odbywały się ustawicznie od najdawniejszych czasów aż do dzisiejszej chwili. Wogóle niema na kuli ziemskiej drugiego obszaru tak nawiedzanego przez zjawiska wulkaniczne. Cała okolica jest w dalekim promieniu popękana. Wszędzie widać tylko rysy i szczeliny, ciągnące się całemi milami, o olbrzymiej głębi. Nigdzie ani śladu rośliny lub zwierzęcia. Wybuchy odbywają się w ten sposób, że w pewnem miejscu skorupa ziemska się odgina, tworzą się większe lub małe otwory, które się napełniają lawą, albo też olbrzymie szczeliny. Z tych szczelin, idących nieraz poprzez góry, doliny i rzeki, wylewa się lawa w wielkich strumieniach, zalewająca ogromne przestrzenie. Z góry widziane przedstawiają się te obszary zalane lawą, płasko i równo. Gdy się jednakowoż bliżej bada, to się przekonywa, że składają się one z cienkich i grubych płyt, idących pionowo, jak kartki książki. Wszystko w tym obszarze jest czarne. Tylko w bezpośredniej bliskości otworu lawa jest koloru czerwono-cynobrowego. Tam wydzielają się też żółte bryły i siarki i dziwnie białe krzemienie.

Szczególnie trudny był do przebycia pas lawy, szeroki na 500 m. Wszystko było tam podobne do jakiejś szatańskiej kuchni. Dr. Nielsen wyraża się w pewnem szwedzkiem piśmie, opisując swe wrażenia, że zbliżywszy się do owego pasa, miał wrażenie, że stoi u bram, prowadzących do piekieł.

Uczony ten pragnął zbadać również ów olbrzymi wyminiony już lodowiec. Vatnajokul, jednakowoż straszliwe orkany i kilkakrotne oberwanie chmur uniemożliwiły mu tę pracę. W pewnej części obszaru lawy ekspedycja znalazła też ślady potężnych trzęsień ziemi, z których niektóre były całkiem świeże. Na sumę biorąc, jest to niesamowita okolica, która wspólnie z innemi osobliwościami Islandji czyni tę wyspę jeszcze bardziej interesującą.

Kto pisze najwięcej listów?

Dane statystyczne, dotyczące światowego ruchu pocztowego stwierdzają, że w tym kierunku jak i w wielu innych, prym wiedzie Ameryka, której poczta rozsyła sześć miljardów listów rocznie. Druga po Ameryce, Anglja ma 3½ miljarda listów rocznie, trzecie Niemcy 1.8 miljarda. Ponad jeden miljard wykazują Indje angielskie i Francja. Argentyna zbliża się cyfrą 830 miljonów listów rocznie do Japonji wysyłającej 840 miljonów. Co do pocztówek to po Stanach Zjednoczonych idzie tu Japonja, wykazująca w wewnętrznym obrocie pocztowym 2.25 miljarda kart rocznie. Daleko poza Japonją zostają Niemcy z 800 miljonami kart, Anglja 450 miljonów, Włochy 160, Czechosłowacja 130. Druków wysyła najwięcej po Ameryce Francja, bo prawie trzy miljardy rocznie; dwa miljardy Anglja, ponad miljard Włochy i Niemcy. Zabawne są cyfry dotyczące Abisynji, której obrót roczny wynosi 115.023 listów, 350 kart pocztowych i 125 druków. Tem się tłomaczy zapewne, że marki abisyńskie są wysoko przez filatelistów cenione. Jeżeli idzie o posyłki handlowe, to tu po Ameryce przychodzi Hiszpanja ze 160 miljonami. Po niej idzie Francja z 118, Afryka południowa z 70 i Japonja z 50 miljonami. Próbek towarowych najwięcej bo 52 miljony, wysyła Francja, Niemcy 35, Japonja 15 miljonów.

Święto karmienia rzeki.

Pogaństwo ludów pierwotnych ma swe źródło jak nie wyłącznie, to głównie w olbrzymiej zależności człowieka pierwotnego od otaczającej go przyrody: lasom zawdzięcza on swe wyżywienie, w nich łowi ryby, zwierzęta dają mu możność poruszania się, ogień go grzeje.

Z tych przesłanek życia codziennego powstają wnioski, które sprowadzają się do tego, co my nazywamy bałwochwalstwem; poganin bowiem czci dęby, dające schronienie, ogień, pioruny i t. p. oznaki siły przyrody.

Malowniczym szczegółem z życia takich pogan niecywilizowanych jest święto karmienia rzeki, urządzane przez zachodnio-syberyjskie plemię Ostjaków. Istnienie swoje zawdzięczają oni jedynie wyjątkowo bogatym w ryby rzekom; nic też dziwnego, że wszystkie ich myśli krążą stale koło tych rzek i że powstał specjalny ich kult.

Wyrazem kultu jest urządzane wiosną święto karmienia rzek; polega ono na tem, że na określony dzień gosposie, bardzo skrzętnie pracując, przygotowują olbrzymie ilości jadła — nawet najkosztowniejszego — wszystko to gromadzi się nad rzeką w wielkich masach.

W sam dzień święta zbiera się cała wieś nad rzeką, a w obecności kapłana powoli te pracowicie sporządzone pokarmy wrzuca się do rzeki. Robi się to w tym rozumieniu, że ponieważ rzeka wieś całą żywi swemi darami w ciągu całego roku, trzeba się starać o pozyskanie jej łask, by i w sezonie bieżącym była dla wszystkich szczodra, jak dotąd.

Ten hojny podatek w jadle uważa widać plemię Ostjaków za niewystarczające, bo gdy już wszystkie pokarmy zostaną wrzucone do rzeki, nadchodzi punkt ostatni uroczystości, najważniejszy.

Wśród bydła z całej wsi wybiera się najpiękniejszy i najbardziej utuczony okaz; sztukę tę mężczyźni pod wodzą kapłana prowadzą nad rzekę, na pomost; gdy już stanie na pomoście, trzymają ją mocno na linach, a kapłan wbija w jej serce nóż.

Krew z rany tryska obficie, ofiara jednak trzymana jest aż do czasu, dopóki wszystka krew co do kropli nie wypłynie do rzeki. Potem dopiero tego byka czy krowę sprowadzają na ląd, obdzierają ze skóry, kości i skórę w całości rzucają do rzeki, a mięso w całości pieką.

Z tej wielkiej porcji i pieczeni każdy rybak wioskowy dostaje mały kawałek mięsa; przechowuje on go bardzo skrzętnie przez rok cały, bo to talizman, wróżący dobre połowy; ktoby go zgubił, naraziłby się na wielkie niepowodzenie i burze.

Święto karmienia rzeki jest u Ostjaków jedyną bodaj uroczystością, niepozbawioną poezji.

Niezwykły djament.

W kopalni djamentu w Południowej Afryce, znaleziono djament nadzwyczaj rzadkiej barwy, bo czerwony. Blask tego kamienia jest podobno tak silny, że wydaje się, jakoby z niego wychodziły płomienie. Rzeczoznawcy twierdzą, że jest jedyny w swoim rodzaju djament, i po oszlifowaniu w Amsterdamie stracił więcej niż dwie trzecie na wadze, to jednak wartość jego jest pewnie nie do ocenienia.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Piotr Wenc** w S.: Utworów rymowanych do prac konkursowych zaliczać nie możemy. Nadesłany nam możemy jednak umieścić poza konkursem, gdyż jest on nieźle napisany. — **Władysław Biedroń** w P.: Żal Pański jest nieuzasadniony, gdyż my posiadamy tak wielką ilość wierszy, że nie sposób wszystkich zadowolić. Chcielibyśmy, ale niestety względy techniczne nie pozwalają. Prenumerata zapłacona do końca roku. — **St. Nowak** w K.: Pracę konkursową otrzymaliśmy. — **Mep:** Nowelka nadeszła. — **Aleksander Gwóźdź** w L.: Wszystkie Pańskie uwagi bardzo słuszne. I my to czujemy, ale nie chcemy zamieszczać na ten temat artykułów, aby sprawy jeszcze bardziej nie rozjątrzać. Ludność pozna jednak złe i może przecież sama nie da się obskubywać. — **Józef Dybała** w G.: Pracę konkursową otrzymaliśmy. — **Nuśka Steuerówna** w K.: I dlaczegóż tak czarne myśli w siedmnastej wiośnie życia? Czego obecnie uzyskać nie można, przyjdzie kiedyś samo i nieproszone. Wierszyki, szczególniej te krótkie, zupełnie dobre. — **Wojciech Ciepiela** w B.: Otrzymaliśmy, za pozdrowienia dziękujemy. — **Antoni Król** w B.: Nie na wszystkie listy odpowiadamy w „Odpowiedziach Redakcji", gdyż zajęłoby to zbyt wiele miejsca, dlatego też prawdopodobnie i odpowiedź do Pana pominęliśmy. Za pozdrowienia serdecznie dziękujemy i cieszymy się, że mamy w Panu tak życzliwego Przyjaciela. Resztę spraw załatwi Administracja. — **Juljusz Prus** w B.: Ogromnie ucieszyłem się listem Pańskim. Niech Pan ani na chwilę nie myśli, abym żywił jakąkolwiek urazę. Aby odpowiedzieć, czybyśmy drukowali artykuł z dziedziny medycyny ludowej, musielibyśmy najpierw przeczytać jeden lub dwa. W zasadzie tak. Co się stało z „Błędami życia", sam nie wiem, gdyż tyle lat już upłynęło, gdym je otrzymał. „Wskrzeszenie Łazarza" z ilustracjami chętnie wydrukujemy tembardziej, że jest to rzecz bardzo dobra. Serdecznie pozdrawiam i czekam. — **Walenty Perec** w Ch.: do końca roku brak jeszcze 3 zł. A numera z poprzednich kwartałów dla całości rocznika są o wiele tańsze, póki jeszcze wszystkie mamy. Za grzeczność dzięki. Cześć! — **Jan Kubielas** w P.: Mamy tylko ten, który jest w „Roli" ogłoszony.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryfy.

(Ułożył Jan Czeluśniak z W.).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Tyrolu.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Zwierzę domowe.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Nazwa pieczywa.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Obcokrajowiec.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Nazwa ptaka.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Choroba.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Owad.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Pasorzyty.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Roślina.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Potrawa.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Droga osoba.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rodzaj maszyny.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Naczynie na wodę.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Owoc.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Gatunek ryby.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Inaczej napaść.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Karma dla bydła.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Nazwa pochodzenia.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Drzewo iglaste.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Płyn.

Środkowy rząd czytany z góry na dół utworzy nazwę momentu historycznego w Polsce.

2. Szarady.

(Ułożył W. Ptasiński z B.).

I.

Pierwsze czwarte bolesne bywają,
W drugiem często okręty przystają,
Trzecie wspak, gdy gotowany
Zdaje się być malowany,
Pierwszemu się dawniej w Egipcie kłaniali,
Całości zawsze żołnierze się bali.

II.

Pierwsza to instrument wielki,
Co rozprasza smutek wszelki,
Druga trzecia jest dawana
Żydóweczkom na imiona,
Druga wstecz to bardzo znana,
Przy grze w „oczko" jest lubiana.
Całość to człowiek z „Roli" go znacie,
O poradę do niego często się zwracacie.

III.

Pierwszem i drugiem się ludzie często [przewożą
Na trzecie zwierzęta z nory wychodzą,
Czwarta litera jest w alfabecie,
Lecz tak ją wpiszcie jak wymawiacie.
Z całości mamy nakrycie głowy,
Lecz nie cywilny, tylko wojskowy.

3. Kwadrat magiczny.

■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ■ ■ ■

Zamiast kwadracików umieścić litery, tak, aby czytane i poziomo i pionowo dały następujące wyrazy: 1) Naczynie ozdobne. 2) Imię żeńskie. 3) Najwyższy punkt. 4) Płyn. 5) Imię męskie.

4. Przestawianka.

Nie, nie, kwia, nie, masz, wa, ko, wet, nie, jej, chan, mę, Ko, na, no, żem, ko, ty, tem, bij, wet, bie, tem, wol, czyś, bra, nic, bij, tem, pra, kiem, na, kwia.

Z powyższych zgłosek ułożyć jedną zwrotkę znanego wiersza Kwiatkowskiego.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrody dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 30 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 41 „Roli": 1. Logogryf: Antoni Stanisław Bassara. 2. Logogryf: Warszawa-Zakopane. 3. Łamigłówka: Warszawa. 4. Szarady: Sikora. Analfabeta. 5. Układanki: a) Kiedy klon wcześnie opada, ostrą zimę zapowiada. b) Gdy pełnisz cnotę, cierpisz trudy i kłopoty. Jeszcześ nie jest cnotliwym, tylko szukasz cnoty.

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

Ile razy odwiedzę nasz Kraków prastary
Tyle razy zaglądnę także do Bassary.
A dość często odwiedzam to miasto kochane
Wolę go niż Warszawę albo Zakopane.
Na zacisznej ulicy świętego Tomasza
Co środę się drukuje żwawo „Rola" nasza
Sam wydawca dogląda linotypów pracy,
Choć nie będzie jadł pewno zbyt wielkich kołaczy.
Administracja także w nie małym kłopocie,
Bo na papier, druk, farbę, wydać trzeba krocie.
Ile tam jest gotówki codzień do wydania,
Może ściśle określić buchalterka Mania.
Zato nie bezowocnie, bo obrazki w „Roli"
Nawet analfabetów ciekawią powoli
A mój sąsiad zza ściany Mateusz Sikora
Roczną prenumeratę pocztą wysłał wczora.
Kiedym wyszedł z redakcji, szukam gdzie Wesoła
Patrzę rosną na plantach klony dookoła
Zawcześnie opadają będzie ostra zima
Tej wróżby rolnik każdy oddawna się trzyma.
Idąc z Wesołej w rynku cośkolwiek zboczyłem,
Bo pomnik Mickiewicza zdala zobaczyłem
Z ojcem ze mną idącym oglądam postaci
Co ze spiżu odlane dla potomnych braci.
Czytam napis u dołu w granicie wyryty
Że cnotliwym się staje ten co szuka cnoty
I choć cierpi dla cnoty trudy i niedolę
Lecz pociechę ma wtedy, kiedy czyta „Rolę".

St. Nowak.

Oprócz tego dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Alfons Czader z S. W., Piotr Wenc z S., „Yoga" zK., Władysław Marko z K., Jan Sowa z Z.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Sowa z Z. i Piotr Wenc z S.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Prześcignął go!

Pewien ojciec synowi swemu robił wyrzuty z tego powodu, że niczem nie można go było nakłonić do wcześniejszego wstawania. Opowiadał mu dla zachęty powiastkę o człowieku, który rychło wstał i w drodze znalazł sakiewkę z złotem.

„Być może", odparł synalek, „ale ów człowiek, który zgubił sakiewkę, jeszcze wcześniej wstał".



Lis i rak.

Pewnego razu rak leżąc na brzegu rzeki wygrzewał się na słońcu, gdy w tem nagle zjawił się lis. Po chwili lis odezwał się do raka w te słowa: „Myślisz, że jesteś wielki, bo masz duże szczypce, ale ja cię wyminę w biegu". Akurat tak się złożyło, że w odległości jednej mili biegła droga. Rak odpowiedział: „Możesz zacząć bieg wysuwając się naprzód o długość ciała".

Lis puścił się w drogę i pędził, co sił starczyło, nie wiedząc o tem, że przy rozpoczęciu biegu rak przyczepił się do jego ogona i trzymał się mocno w czasie wyścigów. Dobiegłszy do drogi, lis obrócił się, chcąc widocznie widzieć, jak daleko w tyle poza sobą pozostawił raka. Nie widząc jednak raka zaczął się śmiać serdecznie. W tej chwili jednak rak odezwał się w tyle za nim: „Dlaczego się śmiejesz? Ja tu od dawna na ciebie czekam". — Lis ku zdumieniu swemu przekonał się, że został pobity i odszedł bardzo zasmucony, że dał się rakowi nabrać na kawał.



Ostatnie życzenie.

A pamiętaj żono, jak umrę, podlewaj trawę na moim grobie, — czasem wodą, a czasem alembikówką...

U golarza.

Gość: Zdaje mi się, że ta brzytwa jest stalowa.

Fryzjer: Po czem tak pan sądzi?

Gość: Bo widzę, jak się iskry sypią na mojej brodzie.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Nowe wydawnictwa.

„Kiedy Anhelli wstępował na Wawel“ napisał Robert Rydz. Przepiękny ten poemat powinien znaleźć się w każdej bibljotece. Do nabycia w Administracji „Roli“ lub u wydawcy. Cena 1 zł.

Konkurs.

Chcąc zachęcić naszych Czytelników do próbowania sił na polu literackim, a innym dać jak najwięcej rzeczy ciekawych do czytania, ogłaszamy niniejszem konkurs na powiastkę, opowiadanie, legendę, bajkę, humoreskę lub wreszcie artykuł poważny.

Warunki konkursu są następujące:

Utwór musi być oryginalny, to jest z nikąd nie przepisany, ani przez nikogo innego nie opowiedziany. Musi zawierać treść zajmującą, odpowiednią dla „Roli“, napisany w formie przystępnej. Objętość utworu nie może zajmować więcej aniżeli jedną stronnicę „Roli“. Musi on być pisany czytelnie, po jednej stronie papieru.

Termin zamknięcia konkursu upływa dnia 31 października b. r.

W razie napłynięcia większej ilości dobrych utworów ilość nagród powiększymy.

Celem ułatwienia pracy sądowi konkursowemu, złożonemu z wydawcy i Redakcji „Roli“ prosimy o wczesne nadsyłanie utworów.

Redakcja „Roli“.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie,
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.